



N^o 32.

Prenumerata w Warszawie:
roczn e rs. 8, półrocznie rs. 4, kwartalnie rs. 2,
miesięcznie kop. 67 i pół.

Warszawa, 8 sierpnia 1868 r.

Prenumerata na prowincyi i w ce-
sarstwie w osobnych kopertach:
kwartalnie rs. 3 1/2.

TOM II.

Treść numeru. Bajki Krasickiego (z drzeworytem).—Kronika tygodniowa.—Rozmaitości.—Przegląd polityki zagranicznej.—Korespondencya od redakcyi.—Pamiętki po Janie Kochanowskim w Czarnolesie (z czterema drzeworytami).—Konrad książę mazowiecki i Henryk Brodaty książę wrocławski (drzew.).—Korespondencya Tygodnika Ilustrowanego z Krakowa i ze Lwowa.—Szkice z życia warszawskiego (drzeworyt).—Zadanie konikowe.—Rebus.—Wycieczka na Łomnicę tatrzańską 26 lipca 1865 r. (dalszy ciąg).—Silni i słabi, powieść.—O podaniach i klechdach ludu z okolic Warszawy, przez Mściława Kamińskiego (dalszy ciąg).

BAJKI KRASICKIEGO,
illustrowane przez Antoniego Zaleskiego.

Stary pies i stary sługa.

Póki gonił zające, póki kaczkę [znosił,
Kasztan, co chciał u pana swo-
[jego wyprosił.
Zstarzał się; aż z owego pań-
[skiego pieścidla,
Psisko stare, niezdatne, od-
[dano do bydła.
Widząc że pies nieborak obli-
[zuje kości,
Żywił go stary szafarz, niegdyś [podstarości.

Tutaj uwolnił bajkopis artystę od łamania sobie głowy nad wyszukiwaniem w czém się alegorya bajki do ludzi stosuje. Stary pies, stary sługa; możnaby dodać: stara też to historia. Macie chleb, acz ciężko zapracowany, starzy, wierni słudzy; dogryzujcie resztek kości i resztek żywota, dziękując jeszcze Bogu, że nie umiéracie z głodu gdzieś pod płotem, boć różnie to na świecie bywa.

Tak sobie zapewne дума



zaczny ex-podstarości, patrząc na swego starego kasztana, niegdyś jak on pańskiego faworyta. U pana teraz zapewne nowe sitko na kołku, nowy podstarości cieszy się pańskim faworem i w dostatki opływa, a on, dawniej zaufany powiernik, alter ego pański, zapomniany gdzieś w kącie folwarczonym.

A ty, stary kasztanie, gdybyś nie był tak głodnym i w skutek tego zatopionym po uszy w szafiku strawy, który przed tobą postawił twój kolega szafarz, widziałbyś zdala swego pana z nowym a młodym wyżłem wesoło ruszającego w pole i westchnąłbyś myśląc o dawnych swych czynach, o niewdzięczności ludzkiej i o zmienności wszystkiego co się dzieje tu na tym płaczu padole.

**Kronika
tygodniowa.**

— Ale zmiłuj się pan, czyż to podobna?

— Dlaczegoż niepodobna, proszę pani. Niech pani czyta: „W miejscu spacerowem zwanem Kaskada, znajdujemy, jak wiadomo, zdroj, w którym podobno dostrzeżono własności leczniczych. Profesor szkoły Głównej Girsztowt...”

— Ale wiem, wiem, czytałam już o tém, tylko nie wierzę.

— Możnaż się spytać o przyczynę téj niewiary?

— W sąsiedztwie wszystkich wód tego rodzaju, które

zdarzyło mi się widzieć, są góry, a pod Warszawą wcale gór niema.

— Mogłabyś pani, z takimże samym pozorem słuszności, twierdzić że naokoło wszystkich wód któreś pani zwiędziła są Niemcy, a pod Warszawą niema Niemców, albo przynajmniej jest ich bardzo niewiele. Ten brak jednak nie pozbawi wody z Kaskady żelaza, jeżeli naprawdę żelazo w niej się znajduje. I mogę pani ręczyć...

— Choćby nie wiem jak zawyrokowano, ja zawsze będę wierzyć w wody schwalbachskie i egerskie. One już znane i wypróbowane. Przyznam się nawet panu, że z wielkim niedowierzaniem słyszę o tych waszych karpackich wymysłach, o tej sławnej Krynicy i t. d. A cóż dopiero jechać do Marymontu do wód! Może wygodniej jeszcze będzie odkryć jakie własności lecznicze w studni wodociągowej, gdzie na rogu ulicy. To rzecz prawdziwie śmieszna.

— Otóż w tej chwili właśnie wypowiedziałaś pani całą prawdę. Choćby rzeczywiście wody odkryte gdzie w bliskości Warszawy łączyły w sobie najsukcesyjniejsze lecznicze warunki, naszym turystom to się nie spodoba, bo tam niema ani szkła czeskiego, ani niemieckich towarów, ani francuzkich galanterij. Kuracya u wód zagranicznych była dla większej części osób tam wyjeżdżających pozorem tylko do robienia sprawunków. *Była* mówię, bo teraz niebardzo nas stać na to, a jednak niejedni, choćby już goniąc ostatkami, sili się na zachowanie chwalebne zwyczaju. Dalibóg, zkad ci ludzie biorą pieniądze na podróże, trudno zrozumieć. Bo policzywszy...

W tej chwili jakaś panna zasiadła do fortepianu, by odśpiewać urzędową arya i rozmowa się urwała.

* * *

Ludzie, to najuczciwsze pod słońcem istoty. Wszystko w nich wmówić można, ze wszystkiego są zadowoleni. Powie się im tedy:

Siadziecie sobie na placu około ogrodu. Będziecie widzieli jakieś rurki mało znanego wam użytku, rodzaj platformy, a na platformie ogromny worek z gumowanej kitajki, siatką ze sznurów obwieszony. Ten worek, to balon. Patrzcie na niego i czekajcie. On przez jakie dwie lub trzy godziny nadymać się będzie gazem, aż nareszcie pójdzie w górę i po wszystkim.

Otóż, jak powiedzieliśmy, nadymanie balonu trwa bardzo długo, a unoszenie się go w górę parę minut zaledwie. Pomimo tego ludzie zbierają się tłumnie, siedzą i patrzają.

I niejedni, wychodząc z takiego posiedzenia, przeciągnąwszy się dobrze i wyziębawszy, pomrukuje pod nosem:

— Zjedzą licha, jeżeli mnie na tę sztukę złapią jeszcze kiedy.

A jednak, skoro ukaże się afisz, pójdzie drugi raz, i trzeci, i czwarty, bo ciekawych wzniesienia się balonu zawsze dosyć się znajduje.

Ciekawość tę możnaby różnemi powodami wytłumaczyć.

Więc najprzód wszelkie niezwykle uświłowanie człowieka ku wyłamaniu się z pod praw natury, pociąga nas do siebie. Nie lubimy żadnej wyższości, a ptaki mają nad nami rzeczywistą wyższość, bo latając nad nami, czynią to, do czego my nie jesteśmy zdolni.

Powtóre balony, pomimo względnego rozpowszechnienia, są jeszcze dość niezwykłym widowiskiem, a wszelka niezwykłość nieprzemyślana dla ludzi ma powab.

Potrzenie, i to podobno najgłówniejszą jest pobudką, lubujemy się w niebezpieczeństwach, na które kto inny się naraża, byleby nam nie zagrażało. Przypominamy sobie w myśli, ile to razy wędrowki balonowe narażały na wypadki napowietrznych żeglarzy i w najszybszym zakątku duszy cieszymy się iż czujemy grunt pod nogami, podczas kiedy ktoś tam za nasze pieniądze musi powierzać życie swoje wątlęj powłoce kitajkowej.

To smutne, ale tak jest. Mniej więcej wszyscy mamy w sobie utajone jakieś złe instynkta, które przy lada sposobności pomimowolnie torują sobie drogę. Niejedni myśli:

— A gdyby też spadł naprawdę? No, szkoda by było człeczyska, ale byłoby co widzieć.

Zkad to pochodzi?

Jeżeli widziemy uczonych specjalistów, wynalazców, narażających się na niebezpieczeństwa dla posunięcia nauki naprzód, szacunek jaki w nas pomimowolnie budzą te uświłowania, zmusza nas tylko do uwielbienia i podziwu. Ale jeżeli ktoś naraża się za opłatę wniesioną do kasy, wtedy niknie społeczenie jakie on budzić może. „To rzecz jego, mówimy sobie, żeby się trzymał dobrze, nam nic do tego.“

Na szczęście aeronauta który obecnie u nas puszca się pod obłoki, pewnym jest swój sztuki i znajduje nawet takich, którzy ufając w niego, ofiarują się mu towarzyszyć.

Dotychczas jednak skończyło się na dobrych chęciach, chociaż przekonaliśmy się dawniej, że w Warszawie niebrak na odważnych amatorach podróży napowietrznych, którzy te swoje zamiary umieją przeprowadzać do skutku.

Nie wiemy jakiego kosztu pociągnęło za sobą urządzenie, chociażby na małe rozmiary, balonu naksztalt tego, który na szeszciorocznej wystawie powszechnej w Paryżu tyłu zwabiał ciekawych. To jednak pewna, że podróż taka, nie przedstawiająca rzeczywistych niebezpieczeństw, wielu znalazła amatorów i przedsiębiorca dobrzeby na niej zarobił. Ludzie, kiedy im przyjdzie myśl wzniesienia się trochę nad poziom, lubią być trzymeni na linie, żeby jakoś z matką ziemią nie tracić komunikacji, i nie tylko w balonach dałoby się to zauważyć. Przypatrzmy się tylko dobrze tym, co wyżej chcę szybować w różnych okolicznościach życia, a ślady linki odkrywają się zawsze.

* * *

Ludzkość coraz bardziej zaczyna leczyć się z zakorzenionych niegdyś przesądów i nie braknie tego przykładów.

W pewnym miasteczku otworzył się wakans na posadę bryftregera czyli listonosza.

Z pomiędzy licznych kandydatów wybrano takiego, który zdawał się przedstawiać najlepsze *nożne* kwalifikacje.

Ale widocznie nowy dygnitarz uważał posadę swoją za zaszczytną synekurę tylko, otrzymawszy bowiem nominacją, zaraz pomyślał o zastępcy, a zastępca ten, objawwszy obowiązki, uczynił sobie następujące rozumowanie:

— Przesądem jest, żeby list oddawać pod adresem wyrażonym na kopercie, w terminie oznaczonym. Nie wszystkie dni sposobne są do chodzenia. Raz upał dokuca, to znowu deszcz moczy i błoto niszczy obuwie. W takim razie lepiej siedzieć w domu. List zawsze dojdzie prędzej czy później, bo sam interesant, jeżeli już mu bardzo pilno, zgłosi się po niego, a półtorą kopiejki nigdy nie przepadnie. Lepiej więc czekać, nie trudząc się wcale.

I uczynił tak.

Wynikło z tego, że miasteczko pomienione musi się obywać bez listów. Ludzie tam mieszkający w kilka tygodni dowiadują się, że wypadł im pilny interes wyjazdu, wypłata jaka lub odbiór pieniędzy, sprawa terminowa nie cierpiąca zwłoki i t. d.

A pan zastępca, zaczepiony o to, tłumaczy się najspokojniej, że w listach wyczytać tylko można złe nowiny, a o złych nowinach zawsze dość wcześnie się dowiedzieć; wyświadcza więc przysługę, zwlekając ich oddanie.

* * *

„Nie czytałem, pisze do nas jeden z korespondentów, bo może czytam zamało, czy też kto zastanowił się nad kamieniami, które w mojej okolicy gęsto po polach rozrzucone leżą.“

Są to z prostego granitu grubo-ziarnistego wyrobione naczynia, jakby misy, z pogłębieniem na kilka cali sięgającym, a pół łokcia średnicy mające.

Z początku, napotkawszy jeden taki kamień stłuczony, sądziłem iż ręka pobożna wyłobliła go na kropielnicę do wody święconej, gdyż zupełnie podobnego kształtu znajduje się w kruchcie mojego parafialnego kościołka.

Później, gdy mi się więcej takich kamieni już potłuczonych znaleźć zdarzyło, odstąpiłem od mojego przekonania, przypuszczając że do innego użytku były one wyrabiane.

Miejscowi ludzie mniemają, że to są szwedzkie

żarna, ale zdaje się że wcześniejszego czasu sięgać one muszą...

Korespondent oświadcza się z gotowością przesłania jednego z takich kamieni redakcyi Tygodnika, o co go też i prosimy, pochodzenie bowiem tych naczyń i użytek przypuszczalny dadzą się może łatwiej tu oznaczyć.

* * *

Tenże sam korespondent pisze:

„Parę tygodni temu, bawiąc w Warszawie, uważałem jakiś popęd do sadzenia drzewek i zakładania ogrodów, i to nawet w małych stosunkowo podwórkach. Rzecz w każdym razie chwalebna, roślinność bowiem przyczynia się znacznie do polepszenia warunków higienicznych, zwłaszcza w mieście, gdzie brak jej czuć się daje.“

Szkoda jednak iż po znaczniejszych przestrzeniach nie pomyślano o sadzeniu drzew żywicznych; wiadomo bowiem że wyziew tych drzew zbawiennym jest dla cierpiących na choroby piersiowe, a nawet skuteczniejszy podobno od wyziewu z obór.

W Londynie założono ogród z samych drzew szpilkowych żywicznych, których jest przeszło sto gatunków, oprócz cedrów znajdujących się tam w większej ilości niż na Libanie. Ogród ten, jeżeli mnie pamięć nie myli, nazywają *Pinetheum*.

* * *

Czytałem w tych dniach opis dość śmiesznego wypadku i nie mogę się oprzeć pokusie przytoczenia go tutaj.

W pewnym miasteczku francuzkiem miała się odbyć uroczystość miejscowa, a w niej znakomitsi mieszkańcy zamierzali wziąć udział.

Na kilka dni przed tym solennym faktem myślano już o nim i czyniono przygotowania. Szczególniej troszczył się w tej mierze pan burmistrz, któremu leżało na sercu, żeby rzecz się odbyła poważnie i ze wspaniałością wszelką.

Przygotowano umyślnie na ten cel salę, przerobioną z dawniej stajni zajeżdżnej, w której odbywały się czasem różne przedstawienia, gdy który z przedsiębiorców widowisk tego rodzaju zajeżdżał do miasteczka.

— A głównie, moje dzieci, mówił burmistrz, lubiący wyszukiwać szumnych wyrażań, miejcie na uwadze żeby cała uroczystość odbyła się z pompą, bo bez tego tylko na śmieszność byśmy się wystawili. Nadszedł nareszcie dzień oczekiwany.

Sala była przystrojona, a w samej głębi dla burmistrza, słynnego z wymowy, urządzone mównie, w której miał dać folę oratorskiemu zapałowi.

Ciekawych zebrało się mnóstwo.

Nagle u wnjścia, które, nawiasem mówiąc, było dość szczupłe na tak liczne zebranie, dała się słyszeć jakaś wrzawa i wszystkich oczy zwróciły się na gromadkę ludzi przedziwiających się tamtędy i jakby kłócących pomiędzy sobą.

— Co to jest? zawołał grzmiącym głosem z mównicy burmistrz, czego wy tam hałasujecie?

— Bo to, proszę pana burmistrza, odezwał się jeden z tłumu, wychylając głowę przez edrzwi, wszystko jest już jak się należy, tylko...

— Tylko co... no mówcież?

— Tylko *pompy* nie możemy wprowadzić; zahażyła się we drzwiach i ani rusz.

* * *

Bardzo chwalebne jest urządzenie znoszące monopol przyborów pogrzebowych. Rzeczywiście, przybory te wiele pozostawiały do życzenia, a cena nakładana na nie bywała zwykle dość wysoka.

Wprawdzie zmarły wygód żadnych nie potrzebuje, ale dla czegoż pogrzeb nie ma się odbyć w sposób przyzwoity i po tańszej cenie, jeżeli można.

To już ostatnia przysługa, niechże więc będzie uczciwie oddaną.

Wielu z umiérających waruje sobie oszczędność w kosztach pogrzebowych, ale przeznaczeni do pełnienia tej ostatniej woli, niezawsze stosują się do niej. Tak zwana *przyzwoitość światowa* i tutaj gra niemałą rolę, bo zdaje się niektórym że uwłacza to żyjącym, jeżeli zmarły nie zostanie z wszelką okazałością pochowany.

A ta *okazalność*, jak dotychczas przynajmniej, nie mało kosztowała. Zdarzało się iż znaczna część pozostałości pieniężnej, czasem nawet wszystko, szło na zaspokojenie kosztów pogrzebu.

Obecnie, przy dozwolonym spóźzawodnictwie, będzie można trochę tych kosztów oszczędzić; wyznajemy jednak, iż dziwne na nas wrażenie czynią pojawiające się już ogłoszenia o gustownych karawanach i ubiorach żałobnych, sporządzonych czy sporządzonych mających według wszelkich wymagań.

Zobaczycie że będą karawany modne i mniżej modne, a nawet przyjdzie czas że modele ubiorów żałobnych pojawią się na żurnalach.

Dlaczegożby nie? Niektórzy, a zwłaszcza niektórzy, pragną ażeby i w smutku im było do twarzy.

* * *

Obszerny życiorys zmarłego w tych dniach Ambrożego Grabowskiego, Tygodnik nasz dawniej już zamieścił; pozostaje więc tutaj w kilku tylko słowach uczcić pamięć tego sędziwego pracownika.

Życie jego rozciągnęło się ponad zwykły zakres; gdyby jednak zliczyć wszystkie prace jakim się nieustrudzenie do ostatniej chwili oddawał, to osiemdziesiąt sześć lat które przeżył, wydawałyby się zbyt krótkim jeszcze przeciagiem czasu.

Tak musi być; w rzeczach ludzkich istnieje pewna solidarność trudów, i za wielu nieczynnych, niektórzy biorą na siebie ciężar prawie nad siły.

Bóg błogosławił staruszkowi, który do końca życia niemal zachował czerstwość umysłu i ciała. Czynnny, niestrudzony, wiecznie zajęty, żyjącą był kroniką. Powiedzieć o nim można, że stworzył u nas biografów miast, a nawet archeologów, w ściślejszym znaczeniu tego wyrazu.

Rzeźkością swoją i czynnością nadzwyczajną zawstydział wielu młodych, którzy dojrzewali przy nim i starzeł się, znajdując go wiecznie tym samym.

Jako badacz niestrudzony, pozostawił po sobie wiele niewydanych rzeczy, których uporządkowania i dopełnienia podejmie się zapewne rodzina.

Uzupełniając wiadomość o śmierci tego Nestora literatów, podajemy tu szczegóły o ostatnich jego chwilach, z listu córki zmarłego wypisane.

„Cicho, spokojnie, bez widocznych cierpień, z zupełną przytomnością i świadomością stanu swego, zasnął drogi ojciec na wieki. Na parę godzin przed śmiercią paraliż postępował już silniej i głos mu tamował. Kiedy go jednak Kazimirz (najmłodszy syn, świeżo doktorem medycyny mianowany) wziął za puls, rzekł: „Idzie, idzie, panie doktorze, ale za chwilę ustanie.“ W czasie choroby kazał łóżko przysunąć jaknajbliższej do fotografii zbiorowej, jaką niezbyt dawno otrzymał z Warszawy, i pod nią umarł. Jeszcze w dzień zgonu wypił filiżankę kawy ze smakiem wielkim, bo nic a nic nie cierpiał i zgasł tylko w skutek braku sił. Do ostatniego tchnienia trzymał w ręku zapaloną gromnicę. Klęczeliśmy wszyscy około łóżka, odmawiając modlitwy przy konających. Po słowach: „Puść Panie sługę Twego w pokój,“ oddał Bogu ducha tak lekko, że nam o tém dopiero stojący przy łóżku felczer powiedział.“

* * *

Śmierć Chomanowskiego, artysty dramatycznego, przeszła niepostrzeżenie prawie, dla aktora bowiem prawdziwą śmiercią jest opuszczenie sceny.

Chomanowski nie posiadał odznaczających się zdolności, ale był to aktor użyteczny niezaprzeczenie, a na szali zasług teatralnych taki nieraz więcej zaważy, aniżeli opuszczający się talent.

Zastąpiono ubytek tego artysty; nieraz jednak jeszcze porównanie pomiędzy tém co jest, a tém co było, wypadnie na jego korzyść. Bo Chomanowski *chciał* pracować i praca jego przynosiła rzeczywiste owoce, a bajka o wyścigach żółwia i zająca wszędzie się powtarza.

ROZMAITOŚCI.

Dziewica Orleańska. Niektórzy z nowszych pisarzy zaliczają do rzędu podlegających wątpliwości faktów historycznych, istnienie dziewicy Orleańskiej. Wr. 1866 Harietta Parr wydała po angielsku opis jej

życia i męczeńskiej śmierci: „The Life and Death of Jeanne d'Arc, called the Maid.“ Autorka tego dzieła nie ma w tej rzeczy najmniejszej wątpliwości, opierając się na massie dokumentów, wydanych przez Towarzystwo historii francuskiej. Zawięrają one bardzo wiele rzeczy ciekawych, gdyż odsłaniają nam wszelkie szczegóły śmierci Joanny d'Arc. Jej odpowiedzi w czasie indagacji dają wyobrażenie o głównych wypadkach jej życia i o pobudkach, które skłoniły ją do jęcia się oręża w sprawie ocalenia Francji. Następnie przytoczone są dokumenta, ściągające się do śledztwa, zarządzonego przez papieża Kaliksta V, po 25 latach od czasu śmierci Joanny, celem udowodnienia czystości jej charakteru. W liczbie dowodów należących do tego śledztwa, znajdujemy zeznania pod przysięgą mnóstwa świadków, którzy znali osobiście Joannę d'Arc w jej życiu prywatnym, od kolębki aż do grobu. Są to ludzie wszystkich stanów: wieśniacy z Dom-Remy, gdzie się rodziła, ich żony, towarzyski lat jej dzieciennych, rolnicy, ksiądz, rycerze, jej towarzysze na wojnie, spowiednik Joanny, liczni obywatele i duchowni z Paryża i Rouen, obecni przy jej procesie.

Chociaż pani Parr ocenia krytycznie nieledwie legendy o dziewicy Orleańskiej, lecz w ogólności w tonie jej opowiadania objawia się cześć dla bohaterki i skłonność do wiary w jej widzenia i w jej natchnienie wyższe. Rzecz niewątpliwa, że Joanna d'Arc działała na mocy głębokiego przekonania i poświęcenia się, bo inaczej nie natchnęłaby taką ufnością ku sobie, iżby król francuski i jego dwór uwierzyli w możność otrzymania zwycięstwa pod dowództwem niedoświadczonej wieśniaczki. Pani Parr szczegółowo rozwija te strony charakteru Joanny, jakimi działała ona tak silnie na otaczających; a jakkolwiek potężnym jest pociąg autorki do obranego przedmiotu, zawsze trzyma się ona granic prawdy, gdyż podstawą jej opowieści są autentyczne historyczne dokumenta.

Posiadamy w tymże przedmiocie wydane dzieło Karola Libelta pod tytułem „Dziewica Orleańska z dziejów Francji,“ wydane w Poznaniu 1852 roku.

L. R.

Przegląd polityki zagranicznej.

7 sierpnia.

Wśród ciszy feryjnej, domniemane układy Prus z Austryą stanowią główny przedmiot rozpraw tém żarliwszych, iż zaprzeczenia sypią się gradem, to z Wiednia, to z Berlina. Utrzymywano że przed niejakim czasem p. Beust napisał list do p. Friesena (ministra saskiego), w którym kanclerz austriacki dowodził, że teraz nastąpiła chwila porozumienia się z Prusami. Nagle interpelacya p. Lamarmory w parlamencie włoskim i odczytanie noty pruskiej (p. Usedom) rozbiły te projekta w samych ich zawiązku. Utrzymywano także, iż rząd francuski wiedział o tych układach i dla odciążenia Austrii, podszepnął p. Lamarmora, stronnikowi przymierza francuskiego, myśl interpelacyi, aby wykazać jakie to zamiary żywiły Prusy względem gabinetu wiedeńskiego. Obecnie wszystko to zaprzeczonem zostało. *Mémorial diplomatique*, organ austriacki w Paryżu, podaje do wiadomości, że pogłoski o przymierzu Austrii z Prusami skłoniły p. Beusta do napisania okólnika do dyplomatów austriackich za granicą. Z ogólnej treści okólnika tego widać, że Austria bez Francji nie wejdzie z Prusami w przymierze, głównie z powodu kwestyi wschodniej i znanej w tej sprawie postawy gabinetu berlińskiego. Podejrzenia w Wiedniu panują tak silne, iż dzienniki nie wahają się twierdzić, że Prusy dążą do wzmocnienia Rumunii kosztem Austrii. Są to wszakże przypuszczenia, pozbawione, jak dotąd, wszelkiej faktycznej podstawy.

Wkroczenie kilku band zbrojnych do Bulgarii nie doprowadziło do stanowczych rezultatów, a nawet, jak się zdaje, powstanie już prawie przytłumiono w zarodku. Niektóre z tych oddziałów posiadały widać dobrą organizacyą i uzbrojenie, skoro depesza z Bukarestu z dnia 2 b. m. donosi o trzygodzinnej bitwie z Turkami.

Powstanie bułgarskie zrodziło rządowi rumuńskie-

mu liczne troski i kłopoty. Prasa austriacka i część francuskiej dowodzą, że rząd rumuński sprzyjał organizowaniu się band, bandy te bowiem wkroczyły do Bulgarii z gruntu rumuńskiego. W każdym razie czekać jeszcze bliższego wyjaśnienia tej ciemnej sprawy. Dzienniki francuskie donoszą, że sułtan wynurzył miał posłowi greckiemu, p. Delyannis, życzenie zachowania przyjacielskich z Grecyą stosunków.

W ostatnim dniu zeszłego miesiąca nastąpiło odroczenie posiedzeń parlamentu angielskiego. Lord kanclerz odczytał mowę tronową. Królowa Wiktorja, wynurzywszy deputowanym wdzięczność swą za odbyte prace, zaznacza przyjacielskie stosunki z mocarstwami, szczęśliwe ukończenie wyprawy abisyńskiej i oświadcza iż niema powodu obawiania się wojny w Europie. Dalsze ustępy mowy tronowej poświęcone są reformom, już dokonanym lub projektowanym, przyczem zapowiedziane jest rozwiązanie obecnego parlamentu i zwołanie nowego, na zasadzie rozciąglejszego prawa wyborczego. Jest to fakt nader ważny w dziejach stariej Brytanii, który wpłynąć może na radykalną zmianę prawodawstwa angielskiego i instytucyj tej monarchii. Na ostatniem posiedzeniu parlamentu p. Otway zapytywał, czy rząd wie co pewnego o układach Francji z Belgią i Holandją. Lord Stanley odpowiedział, że po porozumieniu się z posłami w Hadze i Brukselli, zapewnić może izbę, iż o przymierzu tych dwóch krajów z rządem francuskim ani mowy nie było i że wszelkie w tej mierze pogłoski uważać należy za bezzasadne. Ważną wiadomość odebrano w Londynie z Ameryki. Korespondencye z Nowego Yorku donoszą, że prezydent Johnson wniósł na kongres projekt poprawki do konstytucyi, polegający na tém, aby oznaczony czteroletni termin władzy prezydentów, przedłużyć do lat sześciu. Dzienniki angielskie wątpią aby kongres przyjął wniosek Johnsona.

Z Hiszpanii nadchodzą wciąż niepokojące wiadomości. W ubiegłym tygodniu zapewniano, że wkrótce wybuch nastąpi w Andaluzji i że generał Cabre-ra ogłosi tak zwane pronunciamiento, w imieniu infanty Don Juana. Donoszono także iż admirał Nundez, oraz oficerowie eskadry oceanu Spokojnego, podali się do dymisji i że w całej Hiszpanii panuje wrzenie tak silne, że nawet Hiszpanie znajdujący się obecnie we Francji udali się na granicę, w przewidywaniu ważnych wypadków.

Ostatnie depesze. Paryż, 6 sierpnia. Dziś rano przybyła tu królowa angielska. Dekret cesarski z 4 b. m. mianuje komendanta gwardyi ruchomej dla departamentu Sekwany.

Ateny, 3 sierpnia. Królowa powiła syna.

Paryż, 4 sierpnia. Cesarz Napoleon wróci w sobotę do Fontainebleau, z powodu ukończenia kuracyi w Plombières.

Wiedeń, 5 sierpnia. Baron Beust był dziś na uroczystości strzeleckiej. Przyjęto go z zapalem. Herbst czyni przygotowania do sejmku czeskiego. (W. T. B. Ind. Bel. Schl. Ztg. Jour. des Deb. France.)

KORESPONDENCYA OD REDAKCYI.

Nadesłane od pana M. O. z Ch. do dyspozycyi naszej rs. 20 dla pogorzalców Pragi, rozdane zostały między cztery ubogie rodziny, dotknięte pożarem z d. 18 czerwca r. b. A mianowicie otrzymali po rs. 5: *Skepski* z żoną i dwojgiem dzieci (ulica Wałowa Nr. 154); *Jaskierski* z czworgiem dzieci i matką (ulica Wałowa Nr. 173); *Kowalkowska* wdowa z rodziną (ulica Brukowa Nr. 153); *Suchorzewska* wdowa, dotknięta kalęcstwem (ulica Moskiewska Nr. 291).

Panu M. K. w Białej-Cerkwi. Artysta o którym mowa jest jednym z najzdolniejszych i najpożyteczniejszych naszych współpracowników. Sąd pański o jego rysunkach wydaje nam się stronnym.

Panu W. P. w Ossowcu. Wiersz p. t. „Dwaj artyści“ drukowany być nie może.

Panu J. B. w J. „Księga życia“ zanadto nosi na sobie cechy okolicznościową i dlatego zamieszczoną nie będzie.

PAMIĄTKI po Janie Kochanowskim w Czarnolesie.

W pobliżu miasteczka Zwolenia, bo tylko o dwaście wiorst od żwirówki prowadzącej do Lublina leży wieś Czarnolas, którą należąc niegdyś do Jan



Konrad książę mazowiecki i Henryk Brodaty książę wrocławski. Odtworzył Jan Matejko, podług starożytnych pieczęci.

Kochanowskiego, przez wiele rąk przeszedłszy, dostała się później w posiadanie hrabiów Raczyńskich, następnie książąt Lubomirskich, a obecnie jest własnością księcia Władysława Jabłonowskiego.

Nie zamierzam tu rozwodzić się nad opisem piękności samej wioski, powiem tylko że pomimo braku malowniczego położenia, ma ona w sobie coś nęcącego, coś przyciągającego, tak dalece, że podróżny,

zajechawszy do niej, czuje się owiany tajemniczym urokiem.

Wioska Czarnolas, jak mówiłem, należała niegdyś do ojca poetów naszych, Jana Kochanowskiego, który

PAMIĄTKI PO JANIE KOCHANOWSKIM.

mając sześciu braci i cztery siostry, otrzymał ją w dziale po śmierci rodziców i stałe w niej zamieszkał.

Po wnijsiu do ogrodu, widać najpierw kaplicę z frontonami dokoła i krzyżami w nierównej liczbie między temiż umieszczonemi. Był to dawniej dom Kochanowskiego, przez niego samego wybudowany około roku 1560, w tym bowiem czasie dostał mu się z podziąku Czarnolas. Po śmierci poety, skutkiem działania nieubłaganego czasu, dom schylał się ku upadkowi, a w końcu zostały tylko szczątki jego murów.

Księżna Teresa Jabłonowska, troskliwa o byt pamiątek po tak sławnym mężu, owe szczątki domu Kochanowskiego przeistoczyła w kaplicę, która w r. 1830 ukończoną, a w 1836 poświęconą została. Jeden tylko kawał muru, który stanowił akroter w schodach od strony zakrystyi, pozostał nieknięty, jakby dla udowodnienia tożsamości murów zamienionych w kaplicę. Mur ten zasłonięty jest kratami, stanowiącemi rodzaj klatki, po której swobodnie wije się roślinność, a tém samém zabezpiecza go od działania wpływów atmosferycznych.

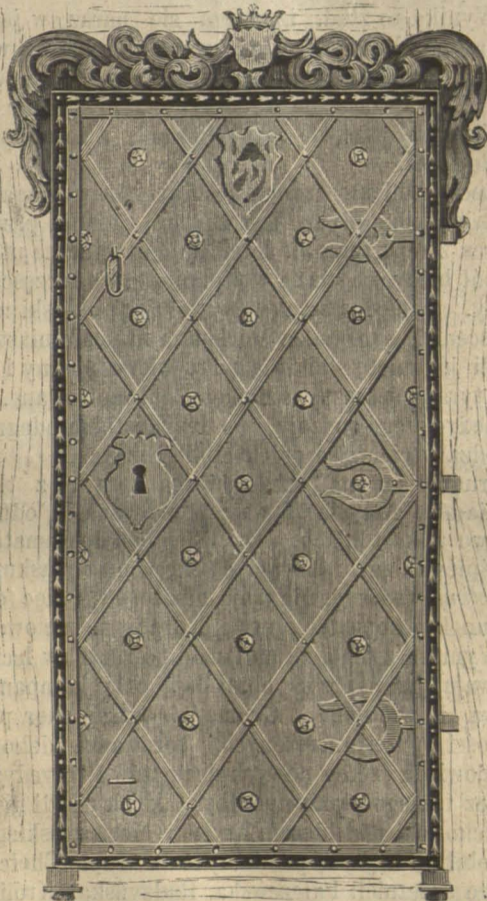
W r. 1853, skutkiem pożaru pałacu, kaplica uległa niemałemu zniszczeniu; lecz książę Władysław Jabłonowski w roku zeszłym odrestaurował ją i przywrócił do zupełnie dobrego stanu. Rysunek tej kaplicy, zdjęty z natury, do niniejszego opisu załączam, nie dlatego aby celowała wytwornością stylu i smaku, lecz że wzniesiona na murach pamiątkowych.

Idąc dalej prosto od głównego wejścia do kaplicy, nie znajdujemy już owę ukochaną lipę Kochanowskiego, pod cieniem której zwykł był pisywać swoje rymy; ściętą ona bowiem została około roku 1770, w którym to czasie dzierżawił Czarnolas niejaki Łopuszański. Ten, wyjeżdżając, polecił ekonomowi, jak mówi tradycja, lipę tę z narośli okrzesać; lecz ekonom, nie zrozumiałszy jego rozkazu, ściał ją zupełnie. Średnica owęj lipy miała dochodzić pięciu łokci.

Księżna Teresa Jabłonowska, chcąc zachować pamiątkowe to ustronie od zupełnej zagłady, oraz uczcić pamięć poety, wystawiła na pniu ściętej lipy obelisk z kamienia ciosowego, stojący na płycie i pie-



Kaplica w Czarnolesie



Drzwi żelazne, prowadzące niegdys do skarbcia Kochanowskiego.

destale z tegoż kamienia. Podstawa jego zajmuje długości łokci 5 cali 7, szerokości łokci 3 cali 12; obelisk zaś cały z piedestałem i podstawą wysoki łokci 6 cali 9.

Na jednej stronie piedestału, jak widzimy w rysunku, stoi czwórbočna kolumna, u spodu szersza, a w górę stopniowo zwężająca się; co zaś umieszczonem być miało na drugiej płycie, która dotąd istnieje, od nikogo dowiedzieć się nie mogłem. Obelisk ten, skutkiem wyrznięcia podpisów przez zwiędających Czarnolas zniszczony, z polecenia księcia Władysława Jabłonowskiego odnowionym zostanie jeszcze w tym roku przez p. Martyniego, rzeźbiarza warszawskiego, który wykonywa z kamienia popiersie poety i umieścić je ma na wierzchu obelisku, trumienkę zaś, także kamienną, jako sarkofag ukochanej Kochanowskiego Urszulki, postawić na wolnej płycie, a nadto wyryc na niej ustępy z trenów.

Na tablicy umieszczonej nad głównymi drzwiami czytamy napis:

„Panie, to moja praca, a zdarzenie
[Twoje;
Racze błogosławieństwo dać do końca
[Swoje.

Inni niechaj pałace murowane mają
I szczerym złotogłowem ściany objijają;
Ja, Panie, niechaj mieszkam w tém
[gnieździe ojczystém,
A ty mnie zdrowiem opatrz i sumie-
[niem czystém,
Pożywieniem uczciwém, ludzką życzli-
[wością,
Obyczajmi znośnemi, nieprzykrą sta-
[rością.

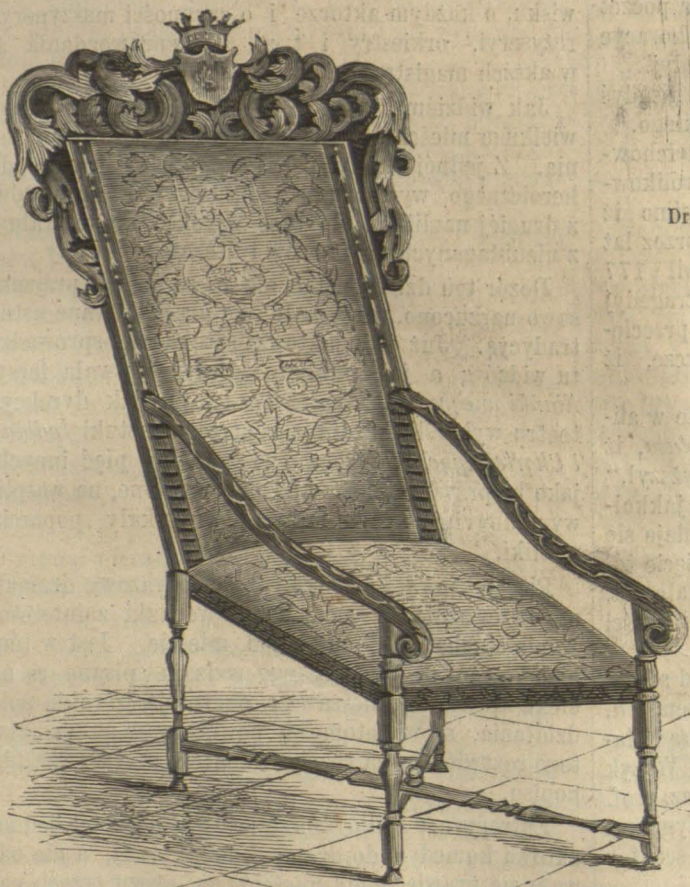
Jan Kochanowski.

Oto słowa naszego poety, jakie napisawszy, umieścił nad domem swoim, a lubo tablica ta nie jest już ową tablicą Kochanowskiego, która dawno uległa zniszczeniu, zawsze jednak dla nas stanowi pamiątkę, bo w niej przechowała się myśl wielkiego człowieka, i w tym też jedynie celu księżna Teresa Jabłonowska kazała ją na froncie pałacu swego umieścić.

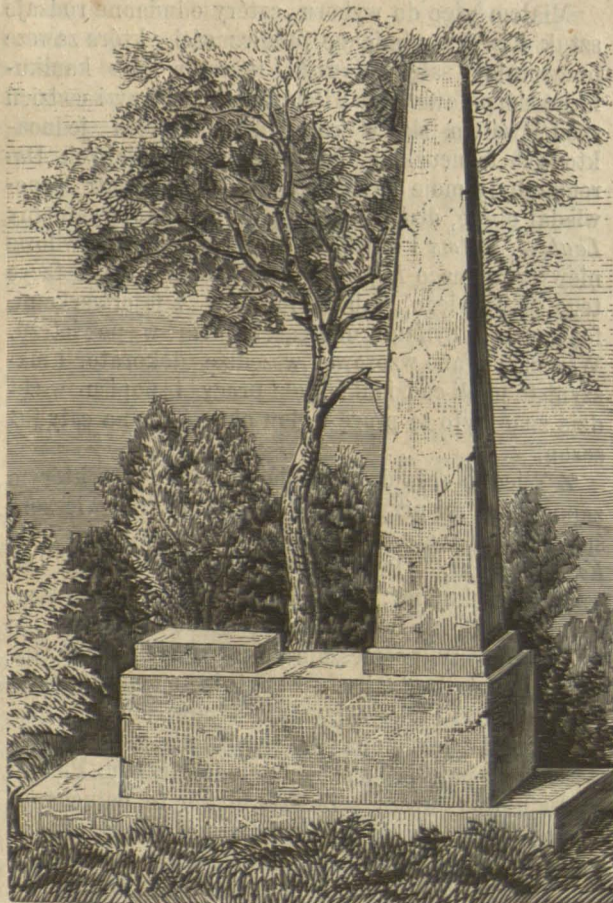
Wejźmy następnie do pokojów, a ujrzymy dwie jeszcze pamiątki, mianowicie krzesło na którym nasz poeta pisywał swoje utwory, a obok niego drzwi żelazne.

Krzesło rzeźbione jest z drzewa dębowego, lakierowane na kolor palisandru, z dwiema poręczami także rzeźbą przyozdobionemi; na wierzchu plecniaka znajduje się korona z herbem. Rzeźba ta z XVI stulecia pięknie i ze smakiem wyrobiona jest w liście akantusowe, jak to przedstawia rysunek, całe zaś krzesło wysłane pilnią i pokryte skórą, polakierowaną na kolor biały, w poślacane wzory. Znajduje się ono w jaknajlepszym stanie, z wyjątkiem matęj na plecniku dziurki, która musiała zapewne wyniknąć z przyczyny skazy w skórze, gdyż krzesło zostaje w największym poszanowaniu, pokryte ciągłym płóciennym pokrowcem.

Tuż obok krzesła stoją drzwi z blachy żelaznej kutęj, nieco zardzewiałe, lecz zdrowe i mocne, listwami żelaznemi z czerech stron i w ukośne pasy okute; w górze umieszczony herb jak na krzesle, w polach zaś pomiędzy pasami znajdują się rozety. Drzwi te mają wysokości łokci 3 cali 4 1/2, szerokości łokieć 1



Krzesło Kochanowskiego.



Obelisk wzniesiony na pniu ściętej lipy Kochanowskiego.

cali 15 1/2 i domyślać się należy, że musiały niegdyś zamykać skarbiec Kochanowskiego.

Książę Władysław Jabłonowski w tym już czasie kazał oprawić je w ramy, z zachowaniem rzeźby w jaką krzesło jest przyozdobione i dodać nóżki, tak iż drzwi te obecnie stanowią rodzaj ekranu.

Jeżeli którego z czytelników okoliczności lub chęć zwiędzenia pamiątek zawiadą do wsi Czarnolasu, niech nie zapomni zapisać się w książkę na ten cel przeznaczoną, znajdującą się u księcia Władysława Jabłonowskiego.

Przerzucając strony téj książki, znalazłem następujący wierszyk, skróślony przez Lenartowicza, gdy zwiędzał Czarnolas dnia 30 lipca 1845 roku.

Gdzież ta lipa ukochana,
Kędyż Jana dom ubogi,
Co to pana kasztelana
Nie chciał przyjąć w swoje progi?
Gdzież ta lutnia złotodźwięczna,
I pieśń jego taka wdzięczna?
Ni śpiewaka, ni gościny,
Ani domu, ni lipiny,
Ani pieśni, ani chłodu.
A jednakże coś tak nęci
Na te pola gdzieś przebywał;
Twój to wielki duch pamięci,
Żeś tu pierwszy Janie śpiewał.
Twoja lipa obalona,
Ale sława co cię strzeże,
Śród wieczności skamieniona,
Po wiek wszelki cześć swą bierze.

Edward Ruciński.

KORESPONDENCA TYGODNIKA ILLUSTRWANEGO.

Kraków, w końcu lipca.

Było to w roku... ale mniejsza o rok, dosyć że niezbyt dawno temu. Bawiłem wtedy kilka tygodni w Wiedniu. Wielkie to miasto ma rozrywek co-niemiarą. Na pierwszym planie teatru. Miałem ich do wyboru cztery. W Kärtnerthor dzień podzień dawano operę Afrykanke; w Burgu bez przerwy pięcioaktowe komedye: *Benediksa Kupiec*, *Hackländera* Magnetyczne leczenia; w teatrze Karola na Leopoldstadzie rozśmieszał najlepszy europejski komik *Treumann* w trzyaktowej sztuce *Kajzera* „Komedia lekarstwem,” a na Wideniu czarodziejska melodrama przedstawiała zdumionym widzom scenę w postaci rozwierającej się paszczy smoka, wyrzucającej ognie z całemi hufcami diabłów i diablików.

Miałem więc do wyboru cztery odmienne rodzaje sztuk i cztery odmienne publiczności, które zawsze przepełniały salę widowisk, nawet w dnie kanikularne sierpniowe. Bawiłem miesiące trzy i codziennie spodziewałem się w repertoarze krotofil jednoaktowych francuzkich, lub z francuzka odlanych. Darremne były moje oczekiwania. Jeden teatr zapowiadał operę, drugi komedię lub dramat oryginalny *Laubego*, *Halma* i *Gutzkowa*, inny komedye wodwilowe niewyczerpanego *Kajzera*, inny jeszcze trawestacje tego wszystkiego, lub melodramy z fajerwerkami, fontanną i sylfami unoszącymi się w powietrzu. Wszędzie grano wzorowo, wszędzie dekorator i maszynista mieli codziennie pole pracy i popisu, wszędzie znać było tę pracę i plan obmyślony na cały już sezon.

Z Wiednia szła droga moja na Kraków, w którym zamieszkać mi przyszło. Pierwszego zaraz wieczora śpieszę na teatr. Zapowiedziano Chatkę w lesie *Kondratowicza*. Dwadzieścia osób na całej sali. Darremne oczekujemy; wychodzi artysta i przeprasza, że widowiska nie będzie, bo publiczności zamało.

Zawiedziony, pośpieszam do przyjaciela mego Gustawa, miłośnika teatru. Zapytuję o powód oziębłości publiki i taką otrzymuję odpowiedź:

— Sztuka jest słaba, bo Syrokomla nie miał dostatecznego pojęcia o mechanizmie scenicznym. Piękny wiersz nie wystarcza. Zresztą utwór to osłuchany; grano go dwa razy, to dosyć dla naszej publiki, która ciągle w jednym komplecie teatrodwiedza, boć w małym mieście nie odmieniają się słuchacze. Ztąd u nas niełatwo dogodzić wymysłom ogółu. Jednostajność powtarzań zabiłaby kasę. Dziś dramat, jutro me-

lodrama, pojutrze komedia pięcioaktowa, pozajutrze tragedia, i to zawsze nowe albo wznowione, oto program każdego tygodnia.

A krotofile, a farsy jednoaktowe? zapytacie. Te nie mieszczą się w programie. Już to łatwiej odegrać jaką operę Dunieckiego, mimo braku śpiewaków, aniżeli wystawić farsę jednoaktową. Tę przyczepia niekiedy entrepryza do trzyaktowej komedii lub dwuaktowej dramy i puszcza kontrabandą, aby publika nie spostrzegła się na tém; bo jeżeli to nie jest oryginalna komedijka Fredry, Anczyca, Bałuckiego, Gorczyńskiego, Ładnowskiego, Łozińskiego lub Bobrowskiego, wówczas z pewnością nikt nie przyjdzie do teatru.

Artysta grający bohaterów dramatu, niechętnie popisuje się we farsach, uważając je za swawolę rozrywkową, a nie za zadanie sztuki; z drugiej zaś strony publiczność nierada przypatruje się błaznowaniom na francuzki manier, mogąc co widowisko oklaskiwać w dramatach to artystę, to maszynistę, to dekoratora.

Idzie to tradycją. Jak ongi, za Meciszewskiego, pojawienie się w „Normie” dekoracyi świątyni Irminsula, albo w *Farysie* Balińskiego dekoracyi okolicysryjskiej, szalonymi oklaskami witano, tak podobnie i dzisiaj publika małego miasta wymaga zadowolenia estetycznego i słuchu i wzroku, — sięga po głębsze myśli, lub ubiega się za zręcznością maszynisty i wytwornością pomysłów kostiumiera.

Wynika to ztąd, iż zbiega się naraz w jednym teatrze publiczność różnych warstw i różnych wymagań. Poszło za tém, że artysta na scenie małej nigdy nie ma czasu do wypoczynku, nigdy nie zdoła dość popracować, bo rola rolę goni, a co nowsza, to trudniejsza.

Lecz jeżeli umęczonym jest artysta wymaganiami widzów, kłopotliwsze jeszcze ma zadanie przedsiębiorca z repertoarem. Jeżeli daje oryginalne utwory, to pół biedy, chociaż i w tém niezawsze szczęście mu służy. Niejedna sztuka wywołująca oklaski na dużej scenie, sprowadza Morfeusza na małomiastowej, jeżeli jęj zaletę stanowią tylko wiersz piękny i chłodne tyrały sztucznym ogniem galwanizowane. Ztąd komedye tego rodzaju, po trzykrotném odegraniu, schodzą w ciemnice półek bibliotecznych.

Trudniejszą ma przedsiębiorca sprawę z tłumaczeniami. Artysta grywający w dramacie, odmawia śpiewu w krotofilach. On chce być deklamatozem, nie śpiewakiem. Komedye ukrecone z piasku, owe *Baboliny*, *Indiany*, nie mają amatorów, więc ciągle frasunek o komedye seryo i o dramy uczuciowe.

Wynikło z tego, że na każde półrocze (w lecie nie grywają) już naprzód obmyślają całą kampanią zimową i wiosenną. Gromadzi entrepreneur poczet nowości przetłumaczonych, sprowadza dekoracje i zapowiada szereg nowych dramatów i tragedj.

Bez takiego planu upadłby, tak jak upadł niegdyś Chełchowski pod biczem krytyki Meciszewskiego.

Pobił go krytyk, pomimo iż w trupie Chełchowskiego świetnieli Palczewska, Radzyńska, Królikowski, Rychter, Chomińscy dwaj i t. p., pomimo iż tenże od sierpnia r. 1840 do 1843 grając, przez lat trzy dawszy 272 reprezentacyj, przedstawił 177 sztuk, pomiędzy temi całkiem nowych tragedj i dram 44, komedj 59, co czyni rocznie przecięciowo nowych sztuk 33. Oskarżano go jeszcze, iż daje zawiele starzynny.

Nic nie pomogły Chełchowskiemu sążniste w afiszach zachwalania nowości, jak np. *Ruyblasa*, iż „Hugo w tym utworze samego siebie przewyższył,” lub *Malżeństwa spekulacyjnego*, iż „dzieło to, jakkolwiek ze skromnej powierzchowności nie zdaje się być pociągające, jednak przepowiada osiągnięcie tegoż samego celu, jaki *Szklanka wody* pozyskała i t. d. Wszystko to było zamało dla chciwej nowości publiki.

Aby wpłynąć na repertoar i czuwać nad sceną, ustanowił były senat m. Krakowa reskryptem z d. 23 grudnia 1842 r. dyrekcją teatralną, którą składowali senator Kopf prezydujący, Franciszek Weżyk poeta, Konstanty Benoe, Aleksander Wasowicz, prof. Fryderyk Hechel, a później także prof. Zygmunt Antoni Helcel, Józef Mączyński, Wolfart i senator Hoszowski.

Posiedzenia téj dyrekcji trwały od 6 stycznia 1843 r. do 7 lutego 1846 r., a protokoły 55 posie-

dzeń z tego czasu, zachowano w aktach magistratu. Jest tam niemało napomnień dla Chełchowskiego, Meciszewskiego i reżysera Pfeifra, z powodu opieczętości służby zakulisowej, wczesnego kończenia sztuki, niepilnowania prób, niewyuczenia się ról przez aktorów i t. p. Dnia 2 lutego 1843 r. za dawanie nikczemnych sztuk zagrożono Chełchowskiemu, iż przedstawiony będzie senatowi do nagany. Przeglądając repertoar z owego czasu i widząc w nim mały procent, bo ledwie trzecią część, jednoaktowych komedj, a przewagę dramatu, zrozumiemy jak surową była opinia owego areopagu.

Dyrekcya teatralna, pisząc nagany ulubionym aktorom nawet za zbyteczne ściskanie bohaterów (w operetce *Mina* r. 1844) nie oszczędzała pochwały tam, gdzie ich potrzebę uznawała. Tak np. Chomiński Michał otrzymał pochwałę za znakomite oddanie roli krawczyka w sztuce Gałganduch. Dyrekcya czuwała nawet nad orkiestrą, nakazując aby celniejsi jęj członkowie przynajmniej raz na miesiąc odgrywali sola popisowe między aktami.

Senat jeszcze bardziej ograniczył entrepryzę, wydając w r. 1843 Urządzenie artystów teatru krakowskiego, r. 1845 Regulamin teatralny, nakoniec r. 1845 Instrukcją dla komitetu teatralnego.

W ustawie dla artystów teatru, przewidziano wszelkie stosunki sceny do publiczności i aktora do przedsiębiorcy. Baczono tu zarówno na to, aby aktorom miejscowym nie dawano ról nieodpowiednich, jak i na to, aby obcym ułatwiano występy gościnne. Nie cierpiano utrudnień, które gdzieindziej nie dopuszczają rywalizacyi talentów kielkujących lub napływowych, rywalizacyi tak pozytywnej, bo wykazującej nieraz niedostatki reputowanych lub okrzyczanych wielkości miejscowych.

Według ustawy téj, przedsiębiorca winien był podać dwa razy do roku, w kwietniu i wrześniu, spis utworów, które miano grać w następném półroczu, oprócz sztuk nowych, mogących napłynąć w ciągu kursu: winien był entrepreneur przedstawiać z tego wykazu do zatwierdzenia repertoar piętnastotygodniowy. W jego ułożeniu przestrzegano ściśle, aby nowymi sztukami przegradzać wznowione, „by unikać dawania jednego wieczoru dwóch sztuk jednego rodzaju,” aby wypełnić trzy godziny wieczoru teatralnego. Tym sposobem zagwarantowano, iż obok dobrej komedji, ciągle ukazywać się musiał dramat obszerniejszy.

Ogólny poczet sztuk granych zapisywano do dyaryusza, wraz z uwagami o grze i wystawie; osobno zaś członkowie dyrekcji odbywali kolejno półmiesięczne dyżury, z których obszernie na piśmie zdawali sprawozdania, o każdym szczegółowo widowisku, o każdym aktorze i o czynności maszyneryi, reżyserji, orkiestry i t. p. Te sprawozdania są w aktach magistratu.

Jak widziemy z tego, dola entrepreneurowi w niewielkim mieście, wcale nie była do pozazdrosczenia. Z jednej strony pchał go własny interes do heroicznego wystawiania kosztownych dramatów, z drugiej naglił go do tego dyrektorjat teatralny, z nieubłaganych profesorów i literatów złożony.

Dozór ten dzisiaj ustał, ale to co niemal przymusowo narzucono, utrzymało się przekazywane ustną tradycją. Już jednoaktowa sztuka nie sprowadza tu widzów; a jak publiczność wyświstywała farsy: *Nianki w ogrodzie*, *Solenizantka* i t. p. i jak dyrekcya teatru wykreślić kazała z repertoaru sztuki *Indiana* i *Charlemagne*, *Papugi naszej babuni* i pięć innych, jako nieprzyzwoite, taki później podobne, na wątpliwym dowcipie oparte farsy, nie uzyskały poparcia publiki.

Pięcioaktowa komedia, sześciobrazowy dramat, oto przeważnie są podstawy i warunki zainteresowania słuchaczy w mniejszym mieście. Jest w tém niejaka raćca. Sztuki tego rodzaju pisane są na efekt wprawdzie, ale zawsze ogarniają szerokie pole działania, są wielotomową powieścią w akcyi; dlatego rozwierają na rozcień talentowi artyści szranki popisu.

Entrepreneur tylko znieśmiałością doczepia jednoaktową komedię do dramy kilkoaktowej, a nie odważa się prawie nigdy mieścić na afiszu trzech naraz jednoaktowych krotofil, bo wie iż w godzinie widowiska musiałby reżyser wychodzić na przedscenie

i zapowiedzieć, jak ongi czynił aktor Żebrowski: „Dla braku w kasie, teatr zamyka się.“

Prawdy tej doświadczali na sobie kolejni entreprenierowie: Anczyc, Pfeifer, Chełchowski, Meciszewski i Mączyński; dlatego to nawet tłumaczom nie płacili za przekłady jednoaktowych komedij, lecz je wprost ściągali z repertoaru większej jakiej sceny. Jako dowód dość przytoczyć, że gdy w r. 1847 Józef Mączyński otrzymał od pewnego tłumacza osiem komedij jedno i dwuaktowych, odmówił za nie nawet biletu bezpłatnego na parter, oświadczając, iż takie sztuki nie zasilają kasy. Dał tłumaczowi dramat pięcioaktowy do przekładu, i dopiero za takowy udzielił biletu bezpłatny na parter na rok jeden.

Doświadczenie nauczyło dalej entreprenierów prowincjonalnych, iż interes kasy wiąże się ściśle ze świeżością repertoaru, z wystawnością, nie żałującą wydatków.

Wiedzano że zapowiedzenie dramatu Monaldeschi (Laubego) będzie przedmiotem rozmów kilkudniowych, a przepyszna sala złota podnieci zapał, zarówno jak przerażająca prawda scena pomiędzy Królikowskim a nieporównanym Chomińskim starszym; że publiczności opuszczającej teatr po północy, jeszcze zdawać się będzie że to trwało zakrótko. Wiedzano że Pfeifer, jako Napoleon na białym koniu, z całą swiata marszałków, będzie zawsze magnesem dla galeryowej i parterowej publiki, która chętnie przebaczy Napoleonowi, iż sobie nitką nos ku górze podciągnął celem charakterystyki, i jego rumakowi, iż wprawił w ruch miotłę i łopatę. Wiedział Meciszewski, iż wydając na wystawę *Dziwicy orleańskiej* przeszło 4200 złotych, nie pokryje kosztów (bo teatr, przy największym napełnieniu, po usunięciu orkiestry nawet, a daniu w jej miejsce krzesel, przynosił brutto 1548 złotych), a czynił jednakowoż te wydatki, wiedząc że tym sposobem na długi czas podniesie urok gry artystów i świetności wystawy.

Raz przynajmniej na miesiąc dany nowy dramat, a raz na tydzień nowa szerszego zakroju komedia, urozmaicone nową garderobą lub dekoracją, wprawiły w ruch miłośników sceny, budziły entuzjazm w całej pełni, a podniecały aktorów do studyów coraz głębszych.

Takiemu repertoarowi w części znacznej przypisujemy zjawisko, iż sceny lwowska, krakowska i inne prowincjonalne wydały cały szereg znamienitości (powtarzam: znamienitości) scenicznych, jakimi byli: Nowakowski, Smochowski, Bensa, Dawison, Linkowski, Chomiński starszy, Królikowski, Rychter, Komorowski, Kamińska, Starzewska, Rakiewiczowa, Rudkiewiczowa, Szturmowa, Radzyńska, Aszpergerowa, Linkowska, Sułkowska, Rapacki, Modrzejewska, którym podobnych nie wydała i nie wyda żadna szkoła dramatyczna.

Nie wydała, bo szkołą sceniczną nie jest owa rutyna systematycznych, automatycznych poruszeń i gestów, wpajanych na lekcji i dla lekcji, ale szkołą jest odmiana i rodzaj ról otrzymywanych, wytrwałe i samodzielne studia nad niemi.

Wszystko to wyrabia praca, rodzaj jej i możność pracy.

Jednego i drugiego niema, jeżeli się bywa skazanym na powtarzanie drobniaków, i to codziennie jednych i tychże samych. Ta jednostajność w drobniakach zużywa wszelki talent. Zniechęca się on, rozpróżniacza, skłania do zbywania pozytywnego ról i słuchaczy, wytwarza monotoność gry, która snadno daje się spostrzegać u aktorów nawet najznakomitszych.

Tam gdzie co tydzień, a nieraz i częściej, jak to bywało w Krakowie w latach 1844—45, pojawiają się jedna lub dwie sztuki kilkoaktowe, tam aktorowie musieli usilnie pracować. Początkujący debiutanci, mając pole nieustannego występowania w rolach drugiego rzędu, kształcili się przy pierwszorzędnym, obywali się ze sceną i szybko, (o ile mieli zdolności), nabierali rutyny scenicznej.

Ta korzyść objawiła się szczególnie przy obsadzaniu ról kobiecych, które nie były nigdy przywilejem jednej lub dwu artystek, starzejących się na zdobytym stanowisku, ale odświeżały się coraz nowo pojawiającymi się talentami, (Cenecka, Nowakowska, Targowska, Hofmanówna, Saffrówna, Szuszkiewiczówna). Tą tylko drogą dojść można do urozmaicenia i pod-

niesienia personelu scenicznego; tą tylko drogą przechodzimy do uszlachetnienia repertoaru.

Obznamię teraz czytelnika z repertoarem z lat ubiegłych w naszej mieścinie, o ludności niespełna pięćdziesięcio-tysięcznej.

Przeciętne cyfry najlepsze dadzą nam wyobrażenie o rzeczy. Sztuka żadna prawie nie doczekała się więcej niż kilku przedstawień w ciągu roku. *Córka pułku*, *Chłopi arystokraci*, miały wyjątkowo fenomenalne powodzenie. Zwykle bywa trzy do czterech widowisk. Dowiodę tego przykładami.

Od r. 1831 do 1840, grano (prócz oper) więcej nad dziewięć razy tylko sztuki *Galganduch* i *Chłop milionowy*. Od r. 1831 do 1845 dano przez 15 lat widowisk 1600, ale widowisk wszelkiego rodzaju, to jest niemieckich, francuzkich, linoskoków, koncertów, bo to wszystko pchało się na scenę.

Przez ten czas, nie licząc powtarzań, dano w polskim teatrze mniej więcej 600 sztuk, z tych połowę zupełnie nowych.

Z pomiędzy powtórzeń dano po dwa razy 143 sztuk, po trzy razy 59, po cztery razy 44.

Do końca r. 1847, przez lat 17, było w Krakowie widowisk wszelakich 1900; przecięciowo na widowiska polskie wraz z operami (których nie mała liczbę grano) wypada po 80 przedstawień rocznie.

Pomimo tego w najgorszych czasach liczba nowych sztuk rocznie dochodziła kilkunastu.

I tak. W r. 1851 na 84 widowisk dano po raz pierwszy 16 sztuk, a wznowiono tragedij i melodram 11. W r. 1852 na 73 widowisk dano 12 nowych oryginalnych, wznowiono komedij 24, dramatów 35. W r. 1853 na 53 widowisk dano 60 sztuk, między temi 18 jednoaktowych, co Chełchowskiemu poczytywano za występki.

W roku 1848 na 114 widowisk dano 42 sztuk oryginalnych. W r. 1841 na 107 widowisk, dano 127 sztuk. W r. 1842, na 97 widowisk, grano 117 sztuk. W r. 1843 na widowisk 93, było 136 sztuk. W r. 1844 na 177 widowisk, dano dramatów nowych lub wznowionych 54, komedij 151, tragedij 10, oper 33, licząc w to powtarzania. Wypada więc miesięcznie sześć dramatów lub komedij (bo miesiące feryalne stracają się). W r. 1855 na 218 widowisk, było oper 17, nowych dramatów i komedij przeszło 40 i trzy tragedye.*

Lata 1844—45 były najświetniejsze. 107 osób składało grono teatralne, między temi tłumacz z pensją 500 zł. w. a., 24 muzyków i 61 artystów, reszta oficjaliści. Płace zbiorowo wynosiły od 2000 do 2500 zł. w. a. miesięcznie, mimo czego teatr prywatny, prawie nie zasilany przez miasto, stał dobrze, nawet świetnie; przedsiębiorcałożył niezwykłe koszta na dekoracye i wystawę oper, a przecie nie zbankrutował.

O dzisiejszym repertoarze teatralnym w następnym liście.

Lwów, w lipcu.

Mało komu wiadomo, że oprócz publicznych i prywatnych bibliotek tutejszych, znajduje się we Lwowie archiwum, zawierające materiały do krajoznawstwa Galicyi, tak pod tym względem obfite, jak żadna z większych i znanych bibliotek. Jest to archiwum p. Antoniego Sznajdera. Ze szczególnym zamiłowaniem powiększaniu zbioru swego oddany, gromadzi on od lat przeszło dwudziestu wszystko cokolwiek odnosi się do statystyki, ziemioznawstwa, fizyografii i dziejów Galicyi. Zadziwiająca jest skrzętność z jaką właściciel zbierał do archiwum i troskliwość z jaką o ciągłe jego stara się powiększanie. Żadna wzmianka bądź to drukowana, bądź znaleziona w rękopiśmie, zawierająca jakiś ciekawy i ważny szczegół, nie ujdzie jego bacności i znajduje miej-

(* Można tu porównać jednocześnie widowiska we Lwowie. Podaje cyfry, o ile mam pewne dane.

W r. 1840 przedstawiono 10 nowych dramatów, a 12 komedij i krotofil. Dalsze lata były korzystniejsze. W r. 1847 dano w 134 widowiskach nowych sztuk 32, z tych dramatów 18, nadto 28 komedij oryginalnych, tragedij 2. W r. 1851 na 130 widowisk dano komedij 115, tragedij 5, dramatów 65, nowych sztuk 26. O ostatnich latach mówi drukowane sprawozdanie Miłazewskiego, ale nie udało mi się otrzymać go od wydawcy, a w obieg go niema. W innem mieście, pod dyrekcją Szmickoffa, w r. 1839, przedstawiono dramatów nowych 16, a komedij nowych 28.

sce właściwe w zbiorze p. Sznajdera. Zbiór uporządkowany jest alfabetycznie, według nazwy miejsc, tak iż pod każdym miastem lub włością ułożone jest wszystko cokolwiek się do nich odnosi. Archiwum przeto zawiera tyle fascykułów, ile jest miast i wsi w Galicyi, a objętość każdej teki wzrasta ciągle, w miarę poszukiwań i poczynionych przez właściciela nabytków. Znajduje się w niem nagromadzonych ogromne mnóstwo szczegółów i wiadomości urywkowych, które mogłyby się zdawać mniejszej na pozór wagi, a przecie do wyczerpującej znajomości kraju niezbędne są potrzebne. Tą to skrzętnością nieznużoną, tém niepominiemianiem żadnego aktu, żadnej wiadomości mogącej do naukowego posłużyć użytku, stało się archiwum p. Sznajdera bogatym w zasoby nigdzie indziej się nie znajdujące, tak iż śmiało powiedzieć można, że ktoby dzisiaj chciał pisać dzieje, statystykę lub geografiją Galicyi, bez źródłowych poszukiwań w tém archiwum obejść się nie może.

Nader ciekawy jest sposób w jaki p. Sznajder gromadzi swe skarby. Nieraz szpargał, którym owinięto paczkę w sklepie korzennym, okazał się ważnym dokumentem, uratowanym przez niego od zniszczenia i zachowanym dla nauki. Nie zaniedbuje on żadnej sposobności do pomnażania swego zbioru. Przed kilku miesiącami namiestnictwo tutejsze postanowiło pozbyć się wszystkich uznanych już za niepotrzebne aktów urzędowych, zachowanych w registraturze, a sięgających od ustanowienia urzędu gubernialnego w Galicyi, po ostatnie lat dziesiątki. Akta te sprzedane zostały na wagę do papierni czerlańskiej, a było ich parę set centnarów. Dowiaduje się o tém p. Sznajder: w gorączkowym pragnieniu uratowania tego coby się w tych zbutwiałych plikach cennym i godnym przechowania pod względem naukowym okazało, uzyskuje pozwolenie przejrzenia wszystkich tych aktów, śpieszy do Czerlan i tam przez cztery tygodnie, pochylony nad kotłem mającym pochłoniąć owe stopy, przepatruje starannie wszystkie akta, wybiera co ważniejsze i do rozwartej paszczy kotła przepuszcza to tylko, co jako żadnej nie mające wartości, sam weń własną ręką wrzuca. Po czterech tygodniach takiej pracy w dymie i zaduchu fabrycznym, wraca do Lwowa jak tryumfator, wioząc całą furę uratowanych od zniszczenia urzędowych autentyków, zawierających nieocenione szczegóły do statystyki administracyjnej, do obrazu ekonomicznego i finansowego rozwoju kraju. Tutaj dopiero nowa rozpoczęła się praca. Kilka miesięcy czasu zabrało przejrzenie, oczyszczenie z kurzu i systematyczne ułożenie pozyskanych tak szczęśliwym trafem nowych nabytków. Tym sposobem pomnożył się zbiór p. Sznajdera ostatnimi czasy wielce bogatymi materiałami. Nie można też pominąć i tej okoliczności, iż archiwum to nie jest nieprzystępnym dla uczonych chcących z niego korzystać.

Mając tak obfite pod ręką do rozporządzenia materiały, p. Sznajder postanowił wydać opis Galicyi, osnuty na źródłach urzędowych, jakich prócz niego nikt nie posiada. Będzie to owoc dwudziestoletniej pracy, gromadzącej z mrówczą pilnością wiadomości i daty. Dzieło to wielkich rozmiarów, ma według ogłoszonej zapowiedzi wychodzić zeszytami pod tytułem: *Encyklopedia do krajoznawstwa Galicyi*, czyli dykcyonarz podręczny, zawierający przeszło 29,000 nazw wszystkich miast, miasteczek, przedmieść, wsi, przysiołków, pojedynczych folwarków lub innych, bądź dla historii krajowej, bądź pod innym względem ważnych dla nauki, niemniej wykaz szczegółowy powiatów, gór, rzek, potoków, gościńców i t. p., z dokładnym i krytycznie opracowanym objaśnieniem, pod względem historycznym, statystycznym, topograficznym, agronomicznym, handlowo-przemysłowym i hydrograficznym i t. d. i t. d. Do każdego tomu dołączać się będzie osobny zeszyt dodatkowy, o pięciu lub więcej arkuszach, zawierający cytowane w tekście poprzednich zeszytów, a dotąd jeszcze drukiem nie ogłoszone dokumenta dawniejsze lub nowsze, dyplomy, przywileje, tudzież artykuły statystyczne, bilanse ludności i inne do krajoznawstwa Galicyi, lub do bliższego objaśnienia szczegółowych opisów potrzebne wiadomości.

SZKICE Z ŻYCIA WARSZAWSKIEGO.

Układ i rysunek Kostrzewskiego.



U handlarza starzyzną.

- Mój Bukszpanku, pożycz-no mi kilka rubli. Tylko prędko!
- A na co?
- A tobie co do tego? Cóż to, ja będę się tłumaczył przed tobą z moich wydatków, czy co?
- Ny, jak ja się pitam pana *na co*, to znaczy na jaki fant.

Obok tego wydawnictwa, przygotowuje się drugie. Powzięto tutaj myśl wydania *Malowniczego albumu miasta Lwowa*, w którym ma się zawierać opis wszystkich godnych uwagi i zachowania zabytków archeologicznych miasta, wraz z ilustracjami zdjętymi z natury przez najlepszego fotografa tutejszego, p. Szajnoka. Album to ma wychodzić zeszytami, podzielone według treści na kilka działów, z których pierwszy ma obejmować dzieje Lwowa, drugi topografią jego, z wycieceniem ulic i godnych uwagi budowli, trzeci dzieje zakładów naukowych i szkół, czwarty wreszcie opis kościołów i znajdujących się w nich pomników. Do wykonania programu, którego pierwszą myśl rzucił jeden z młodych literatów p. Kunasiewicz, mają być wezwani autorowie szczegółowo obeznani z przedmiotami pojedynczych działów, mianowicie do skreślenia części historycznej pp. Tatomir, Nowiński, Sznajder, do opisu zakładów naukowych kilku profesorów i t. d. Wydawnictwo to ma być prowadzone pod kierunkiem p. Mieczysława Potockiego, rządowego konserwatora zabytków archeologicznych, za którego powagą i wpływem otworzony będzie autorom biorącym udział w wydawnictwie przystęp do archiwów i dzieł sztuki, mających dostarczyć przedmiotu opisów. Artystyczna część dzieła będzie bez wątpienia znakomicie wykonana, skoro zdjęcia fotografii podjął się p. Szajnok, w którego zakładzie wydane *Album żółkiewskie* odpowiada wszelkim wymaganiom artystycznym i należy do rzędu najpiękniejszych tego rodzaju albumów malowniczych.

Kiedy już o fotografii mowa, nie mogą pominąć najnowszymi w tym rodzaju pracy, podjętej przez

drugiego fotografa tutejszego, p. Edera. Zdjął on wizerunki wszystkich dworców i główniejszych zabudowań wzdłuż kolei Ludwika Karola lwowsko-krakowskiej. Jest to także piękne album, będące przydatkiem do poznania widoków Galicji zachodniej, zwłaszcza że p. Eder dołączył zarazem widoki kilku miast główniejszych, przez które kolej przechodzi. Malowniczy widok Przemyśla, wznoszącego się amfiteatralnie ponad rzeką Sanem, z ruinami starożytnego zamku na górze, należy do najpiękniejszych kart tego albumu.

Rząd austriacki, celem poparcia wzrostu sztuk pięknych, przeznacza corok kilka stypendyów po 500 do 600 zł. w. a. dla artystów malarzy, którzy dali już dowody swego uzdolnienia i zarazem rękojmię, iż w dalszym kształceniu się artystycznym daleko zajść mogą. Stypendya te przeznaczone są właściwie na podróże dla artystów, dla oznajmienia się z arcydziełami zagranicznymi. Obecnie ogłosił rząd nowy na nie konkurs. W zeszłym roku otrzymał to stypendyum w kwocie 600 zł. w. a., jeden z tutejszych malarzy, p. Leopolski. Obraz który uzyskał młodemu artyście to wyszczególnienie, przedstawia śmierć Klonowicza i wymaga jeszcze ostatecznego wykończenia. Jest to bardzo charakterystyczna kompozycja, a wykonanie odpowiada pomysłowi. Przedewszystkiem zwraca uwagę główna postać starca na łożu szpitalnym. Na wynędzniałym obliczu, które już obłok zbliżającej się śmierci osuwa, drży promień łagodnego spokoju i dobroci, niby zorza gasnących myśli i natchnień poety. Całe otoczenie, ugrupowanie stojących obok łoża osób, lekarza i księdza, uwydatnia główną postać obrazu — wszystko w nim odpowiada uroczystemu nastrojowi chwili. Oprócz tego dzieła większych rozmiarów, znajduje się w pracowni p. Leopolskiego w tej chwili kilka portretów uderzających podobieństwem. Zdaje się że w tym rodzaju artysta do wielkiej dojdzie biegłości. Jest tu portret naturalnej wielkości namiestnika hr. Gołuchoskiego, z wielką przedstawiony prawdą. Leopolski wyjeżdża temi dniami do Monachium w podróż ar-

tystyczną. Na tegoroczną wystawę tutejszą nie dał żadnego obrazu, a skromność tę w młodym artyście wyżej cenimy, niżeli zbytnią gotowość niektórych innych, co w wysokim o swych utworach mniemaniu, zapełnili nimi wystawę, bez korzyści dla sztuki i publiczności.

Rzeźbiarz Filipi zajęty jest obecnie pomnikiem dla ś. p. Grottgera. Zwłoki Grottgera, sprowadzone z Francji z *Amélie les Bains*, gdzie umarł, pochowane zostały na tutejszym cmentarzu Łyczakowskim. Podczas pogrzebowego nabożeństwa ustawiony w kościele oo. bernardynów katafalk, odznaczał się artystycznym przyozdobieniem, którym zajmowali się artyści tutejsi, pp. Macewicz, Młodnicki i Filipi. Po bokach katafalku ustawione wielkich rozmiarów kartony, przedstawiały kopie kilku obrazów Grottgera, zrobione krędą przez Młodnickiego. U frontu stało naturalnej wielkości popiersie zmarłego, wykonane przez Filipiego. Po nad nim umieszczono stosowne godła i napisy. Po pogrzebie zawiązał się komitet, dla zebrania składek na nagrobek. Według pomysłu Filipiego, nagrobek wyobrażać ma kłęzącą u sarkofagu niewiastę, niby skamieniały geniusz boleści, pochyloną nad wieńcem na sarkofag rzuconym.

Mówiąc o sztukach pięknych, zakończę wzmianką o teatrze.

Towarzystwo nasze dramatyczne bawi już od miesiąca w Czerniowcach, gdzie mu się jednak nie najlepiej powodzi. Czerniowce zbyt mało mają publiczności, którą teatr nasz mógł zająć, zwłaszcza że w pewnych przerwach gości tam naprzemian teatr niemiecki i rumuński, przypadający bardziej do smaku większej części tamtejszej publiczności. Scena więc lwowska przebywa tam z konieczności, aby przepędzić ferie letnie po za Lwowem, bo nie było gdzieindziej tego roku wyjechać. Temi jednak dniami przynosi się trupa nasza z Czerniowiec do Stanisławowa, gdzie spodziewa się zna-

(Ob. dodatek.)

ZADANIE KONIKOWE.

(Do nagrody).

n	o	j	n	n	p	e	o
o	i	a	t	o	s	d	c
t	a	c	b	h	a	r	z
o	r	c	n	o	z	y	a
t	y	n	z	z	g	z	u
y	t	e	t	r	z	c	z
o	s	c	s	l	n	k	w
e	w	p	o	a	p	u	a

Powyższa zagadka składa się z 64 głosek rozrzuconych po szachownicy, które, za pomocą skoków konika, złożyć należy w odpowiednie wyrazy, a następnie odgadnąć znaczenie łamigłówki. Kto pierwszy nadeszle z Warszawy *dobrze* rozwiązanie, z wypisaniem bezbłędnych słów zagadki oraz jej znaczenia, otrzyma jako nagrodę książkę nakładowych wydawcy Tygodnika, w wartości rs. 5. Taką samą nagrodę przeznacza się i dla prowincyi.

Rebus.



Znaczenie rebusa umieszczonego w Nrze 31. Ludzie z bujną wyobraźnią, wolą więcej mówić niż słuchać.

(Dodatek.)

cznie lepszego powodzenia. licząc na zamilowanie w teatrze tak samą publiczność miejscową, czego dała dowody w ciągu dwuletniego tamże pobytu prowincjonalnej trupy p. Sztengla, jakoteż na obywateli okolicznych, którzy chętnie odwiedzają teatr stanisławowski, mając ku temu ułatwioną sposobność koleją żelazną. Na dwudziesty sierpnia teatr nasz musi już być z powrotem we Lwowie, z powodu zwołanego na ten czas sejmu i spodziewanego liczniejszego zjazdu obywateli z końcem feryj szkolnych.

Tymczasem dyrektor teatru niemieckiego usiłuje podnieść scenę swą sprowadzaniem na występy gościnne w obecnej porze letniej znakomych artystów ze scen niemieckich, a mianowicie z teatru nadwornego wiedeńskiego, zajmującego, jak wiadomo, najpierwsze między nimi miejsce. Odjechał właśnie Lewiński, który występował w Zbójcach Szyllera, w Fauście, Hamlecie i kilku tragediach klasycznych. Podobał się szczególnie w Natanie Lessinga i w Szyllera Franciszku Moorze. Obecnie zaś goszczą tutaj także artyści teatru nadwornego wiedeńskiego, panna Röckel i Meiner, wyborny komik.

Wycieczka na Łomnicę tatrzańską

26 lipca 1865 r.

(Dalszy ciąg).

A co za ruch tutaj! Zdało mi się, iż jestem wśród gwarne miasta. Oko moje mile błądziło po malowniczych strojach Węgrów, stanowiących największą część tutejszego towarzystwa. Wesołość, rzeźkość i swoboda przebijają się wymownie na wyrazistych twarzach potomków druhów Atylli, a porywający czardasz, co właśnie zabrzmiał w tej chwili, zdawał się obudzać jakiś gorętszy prąd życia w czarnobrewych Węgielkach.

Po trudzącej dwudniowej przeprawie z Zakopanego do Szmeksu, poświęciłem z Wala cały dzień 22 lipca odpoczynkowi. Siedząc przy oknie, zwracaliśmy często oczy ku stronie wjazdu, a każdy turkot wozu zdawał się nam co chwila zwiastować przybycie drogich znajomych; atoli oczekiwania nasze ciągle doznawały zawodu. Co więcej, nie znalazłszy tu nikogo z rodaków, uczułem się samotnym w obcym dla mnie zupełnie świecie. I mój przewodnik Wala najwięcej na to utyskiwał, powtarzając że tysiąc razy wolałby ten czas przesiedzieć w jakiejś górskiej kolibie, niż słuchać połamanego według niego języka Słowaków, lub niezrozumiałych mu Węgrów. „Niema tu, wolał, nasych ludzi!”

Wtém drzwi się otwierają i wstępuje napół po wojskowemu ubrany nieznajomy, więcej może niż średniego wieku, a z zapytania: „Czy tu prof. N?” poznaję z radością nadlekarza Z. Nazajutrz, t. j. 23 lipca w południe, ziściło się wspólne nasze oczekiwanie, bo nadjechał i p. N. Serdeczne było przyjacieńskie przywitanie, a po krótkim wywczasowaniu, udano się na przechadzkę, dla rozpatrzenia się po okolicy Szmeksu.

Na drugi dzień po południu, podczas pory przechadzkowej, opatrzeni narządami do połowu owadów, wyruszyliśmy, p. prof. N., p. Z., ja i Wala, na łowy w kwieciste klomby, gdzie rój skrzydlatych żyłatek zdawał się w skwarnych promieniach lipcowego słońca obchodzić jakąś nadzwyczajną uroczystość. Niezwykły widok przyrodników dybiących i tutaj na niewinne stworzonka, które miłym brzękiem ożywiały woniejące powietrze, sprowadzał ku nam ciekawych gości płci obojg. Przypatrując się z zadziwieniem sposobowi łowów, najbardziej się dziwowali, że z tak daleka przyjeżdżamy na tego rodzaju polowanie, że tego właśnie szukamy, na co oni obojętnym zawsze patrzają okiem. Staraliśmy się wytłumaczyć zajęcie nasze ciekawie wypytującym się nas Węgrom, a przy bogatym połowie toczyła się przyjemnie nasza gawęda.

Następny dzień minął równie przyjemnie i pożytecznie, a gdy p. Z. na 26 lipca naznaczył swój wyjazd, postanowiliśmy także opuścić Szmeks i po zwiedzeniu najwyższych szczytów, wrócić przez Tatry do Zakopanego. Wieczorem 25 lipca stanęło

na tém, że od Łomnicy rozpoczniemy nasze wycieczki. Przybraliśmy dla towarzystwa słynnego węgierskiego przewodnika, Janusza, który już 111 razy był na Łomnicy, a z nami miał być także po raz sto dwunasty. Janusz, spóławodnik Wali, mniej atoli od tegoż z całymi Tatrami obeznany, pewny zaś przewodnik po węgierskiej części pasma tatrzańskiego, Słowak rodem, mówi biegle po słowacku i po węgiersku. Jest on średniego wieku, sążnistego wzrostu, o szerokich barkach, świadczących o niezwykłej jego sile; oczy niebieskie, w szeroko rozwartych powiekach szybko poruszające się pod gestami brwiami, przyczyniają się wielce do mimiki wybitnej, nieco ściągławej twarzy, o madziarsko wykręconym wąsie. W króciutkim dołmanie o długich rękawach, zarzuconym niedbale przez barki, a mosiężną sprzączką spiętym pod szyją, w kłobuku o szeroko zatoczonym brzegu i w obcisłych wyszywanych spodniach, z wałaszka w rękę, wyglądał junacko i bardzo malowniczo. Zgodziwszy się z nim co do płacy, poleciliśmy Januszowi, by nazajutrz ze świtem wyruszył z nami na Łomnicę.

Noc przed owym dniem szybko przemieła. Wschodzące słońce zastało nas już na nogach, a niebo zdawało się zapowiadać pogodę. Odjeżdżający p. Z. przyszedł nas jeszcze raz pożegnać, a i my po krótkim śniadaniu corychlej opuściliśmy miły Szmeks, pogrążony jeszcze w sennych marzeniach.

Ścieżką wiodącą do doliny Kalbachu 1) rażnym zdążaliśmy krokiem. Niezadługo jużśmy prawie u samych stóp Królewskiego Nosa. Smereki zrzedniały; myśmy na porębie, z kądem, jako z otwartego miejsca, prześliczny otworzył się nam widok na Łomnicę.

Był to piękny lipcowy poranek. Słońce wzbliło się już nieco ponad zielone równie Spiżu i różowymi promieniami całowało pierworodne syny ziemi, Tatry. Dziewicza Łomnica, usunawszy lekko białą zasłonę z twarzy, śle czule pozdrowienie panu dnia i życia, a małżonek godny jej ręki, szczyt Lodowy, jak dawniej, granitowym wzrokiem toczy dokoła po niższej swój braci i zatrzymuje się dopiero na swój ulubionej towarzysze, która jako królowa całym zdaje się przewodzić Tatom. Kto ją pierwszy raz widział, przyzna, że treścią wrażenia jakie ta wspaniała góra na nim sprawiła, jest imponująca olbrzymość, ujęta w piękny zakrój formy, czém właśnie najbardziej do siebie pociąga.

Długo nie mogłem wzroku oderwać od wspaniałej góry; wtém przedemną wlatuje nadobna, smętua smereczyn pustelnica, ciemnoskrzydła górówka (*Erebia Euryale*). Świat owadniczy, oacuony rannymi promieniami słońca, zaczął się ożywiać; skrzętna mrówka wyszła już ze swego miasta po ciężkie brzemionko; złotawe muszki, zlekka poruszając przezroczyściami skrzydełkami, siadają po listkach, po cetynkach i grzeją się na słońcu, a łowik (*Asilus*) zacząjony na suchej gałązce, zabiera się do pewnego skoku na nieostrożną ofiarę. Zbliżka gdzieś dolatuje nas śpiew gazdy szafasnego (*Lusciola tithys*), co głosi o życiu pełnym różnaitości i tu pośród jednostajnego boru. Nagle zatrzymuje się p. prof. N. i schyla się ku ziemi, przywołując mnie i Walę. O cud! cóż widzimy? Maluczkie, siwe liszki, zbite jakby w uporządkowaną kolumnę, podobną raczej do pelzającego węża, ciągną w prostym kierunku przez drogę. Ile tu tysięcy tych żyłatek złączyło się w przedziwny zastęp! Jak wszystkie razem, prawie równocześnie, podnoszą czarne główki i dalej naprzód się przeginają! Rzekłbyś, że tu jedno tętno kieruje tym nadzwyczajnym pochodem. Jak silnym musi być popęd u tych stworzonek, popęd, co im każe w te zagadkowe łączyć się gromadki! „Ta to pleń; no teraz da Pan Bóg piękne urodzaje! zawołał Wala, nie pierwszy raz widzący to zjawisko; ludzie u nas w górach plenia zbierają, suszą, święcą w kościele i posypują nim miejsca kany jest zboże, jak sopy, sąsiki, pola i t. p.“ 2).

1) Według dyplomów z 13 i 14 wieku *Kalbach*, *Zimna woda*. W ustach tamecznych Niemców nazwa ta zamieniła się na *Kolbach*, a potem *Kolbach*. Czy napotykaną się nazwa *Zysanek* jest miejscowa słowacka, czy przetłumaczona przez polskiego pisarza z niemieckiego *Kolbach*, niby *Kahlbach*, nie wiemy; przypuszczamy to drugie.

2) Dokładniejszą wiadomość o pleniu (*Heerwurm*) podał prof. N. w Czasie z 5 sierpnia 1865 r.

Bór gęstnieje, ale wnet smereki zapadają w dolinę cudnego potoku Kalbachu. Na dnie parowo szumi głośno wspaniały strumień; ot widać już dzikie jego łożysko zawałone oplukanymi złomami granitowych głazów. Wygodną ścieżką spuściliśmy się szybko ku dołowi obfitującemu w mnogą roślinność i zależne od niej życie owadów. Z głównej tej ścieżki, staraniem dzierżawcy Szmeksu w wzorowym porządku utrzymanej, prowadzą poboczne chodniki na prawo do znacznie wyższych siklaw wartkiego potoku. Z wysokich kilkosążniowych czasem progów, rozrywa się tu zwykle pomiędzy zwałonemi skałami granitu woda potoku i w wspaniałych podskokach spada w wymyte głębiny. Siklawy te zdala bardzo przyjemny sprawiają widok.

Nad łożyskiem potoku wznoszą czarne smereki niezmordowane swe ramiona; gdzieniegdzie siąy modrzew wiotkie rozpościęra gałązki, lub też smukła, białokora brzoza, śmiało ponad huczny spad wybiegłszy, zadumaną schyla głowę ku swój siostrze, wierzbie. Ponad granitowe brzegi w naniesionym natoku rozpostarły tysiące wielkolistnych roślin swe panowanie i wieńczą miłym kwieciami niespokojny, wartki potok. W dzikim bezładzie zalegają koryto powalone głązy; górski potok nic nie zważa na te zawady, on je kruszy, tłukąc o siebie siłą Tytana wywleczone z leżyska uporne skały. Oto siklaw osobliwszej piękności. Kilka śnieżnych pasów wygląda z poza konarów rozrosłych smereków, a opromienione, rażą niezwykłą białością, odbitą od czarnych granitów i ciemnozielonych świerków. W szumie tej siklawy stałem jak zakłęty, jak skały granitu, co strzegą koryta, zadumane nad swą dolą; w szumie dzikim, wszystko obok mnie głuźszącym, wzrok mój oczarowany zawisł na białej wstędze siklawy, a ucho zaledwie dosłyszeć mogło własnego słowa mego. „Pójdźmy już!” zawołał głośno przewodnik, a ja z niechęcią oderwałem się od czarującego widoku.

Przez gęste borowiny, stanowiące jedyne podszycie tutejszych borów, wydostaliśmy się znowu na główną ścieżkę. Pomny, że właściwy cel naszej wycieczki jeszcze dość odległy, szedłem w milczeniu, coraz to rażniejszym krokiem. Ścieżka wymijająca zawałone przeszkody, zbliża się po kilka razy aż do samego łożyska bystrego potoku, to znowu odbiega go i znika w gęstym borze, a jednocześnie cichnie i szum głośniejszych spadów.

Niezadługo atoli świerki się przerzedziły; szum szalejącego strumienia dolatuje znowu uszów naszych, — kilka jeszcze kroków, i wyszliśmy na małą polankę. Naokoło nas piętrzą się jak ściany gotyckiej świątyni dziwnie poszarpane turnie, wybiegając daleko poza krainę lasów. Jesteśmy u wniścia do doliny Staroleśniańskiej, przy potoku téjże samej nazwy 1). Pasma zębatach turni zamyka nam widok na wschód południowy; jest to łomnicki Grzebień, zatknięty za czarne kosy wspaniałej Tatr królowej. Bliżej nas sterczą strome kończyny Średniego Grzebieńca (*Mittelgrat*, 7807' F.), strzegącego od zachodu przed cudną dolinę Pięciu Stawów łomnickich (2). Długośmy się przypatrywali dziwnemu układowi wyniosłych olbrzymów; wtém Janusz nasz, czy to zniecierpliwiony, czy w chęci popisania się ze swą obszerną wiedzą, wygrzebuje niezatartę pamięci szczątki nie tak odległych jeszcze wspomnień. Przed kilku bowiem laty odbywały się właśnie na tej uroczej polance huczne zabawy. Wtedy tu było wesoło i szumno przy grzmącym czardaszu, a liczne eljen rozlegały się po okalających ją szczytach; zdawało się że i od wieków posępne Tatry na chwilę rozjaśniły zachmurzone swe czoła, że odmłodziły. Dziś cicho, pusto i smętno; słyhać tylko szum nieustanny potoku.

Z niedaleka dochodzi nas szelest; zwracamy się ku stronie z kądem wyszli. Któs idzie; czy nie towarzysysz jaki naszój wycieczki? Janusz, zwróciwszy na chwilę wzrok badawczy między świerki, rzekł obojętnie: „To Paweł, kolonista z bliżkiej osady, idzie zapewne po korzonki w hale.“

„A czy nie mógłby on pozostać przy naszych rze-

1) Zwie on się także Małą Zimną Wodą (*Kleiner Kolbach*).

2) Leżą one w dolinie Staroleśniańskiej, czyli Małej Zimnej Wody.

czach, zanim z Łomnicy wrócimy?" zagadnęliśmy Janusza, nie chcąc bezpotrzebnie jego i Walę obarczać.

„Zostanie; jest to uczciwy człowiek, można się na niego spuścić," rzekł Janusz w słowackim narzeczu. I w istocie, przystał Paweł na uczynione mu przedstawienie i podjął się za małą zapłatę być całodziennym stróżem naszych rzeczy.

Ruszyliśmy tedy po niedługim wypoczynku dalej przez mostek staroleśniańskiego potoku ku karłowaciejącemu borowi smerekowemu. Podnóżem Średniego Grzebienia przedzieramy się znowu przez zdradliwe borowiny; potok Pięciu stawów zaszumił. Myśmy już na mostku drugim; pod nami pieni się w pośpiechu woda, by coperdziej złączyć się z niedaleką siostrą. Okolica coraz bardziej dziczeje, coraz większe złomy w nieładzie zalegają drogę, jakby nie chciały przepuścić wędrowca. Gdzie spojrzysz, wszędzie też sama dzikość, niby jednostajna, a przecież tak rozmaita, tak odrębna, że choć nieraz się ze zgrozą od niej odwrócisz, znowu po chwili z zajęciem, z rozkoszą namiętą w nią się wpatrzysz. Daremnie szukasz w duszy obrazu, coby zdał się do tych ogromnych rozmiarów, nie cierpiących żadnego porównania.

(Dalszy ciąg nastąpi).

SILNI I SŁABI.

Wzorki w wolnych chwilach wycinane.

Kiedy wichur zimowy zahaczy melancholijną pieśń po opustoszałych niwach i wstrząśnie posadami chaty, miło przysunąć się do domowego ogniska, napaść się jego orzeźwiającem ciepłem, a myślą gonić za tymi, którzy wśród trudów i niebezpieczeństw, walkę toczą z nieprzyjaznym żywiołem; za tymi, którym los miecie w twarz deszczem i śniegiem, których okala ciemnością i na bezdroża prowadzi. Wtedy nieustający nigdy w czynności duch ludzki, w braku rzeczywistych, stacza prace i walki urojone, puszcza się w świat fantazy i płodzi pierzchliwy a nieskończony szereg baśni, mniej lub więcej udatnych.

Tu prządka, żwawo kręcąc wrzecionem, snuje długie opowiadania, jak długą jest nić, utwór jej pracowitej ręki; tam dziewczica, dziecię salonu, czyta bajeczne wymysły, z większą opracowaną sztuką, tak jak sztuczniejsze są koronki dziergane ręką jej towarzyszek, ale z tegoż samego snute materiału, na téjże samój potrzebie ducha ludzkiego oparte; owdzie dziecię zachwyca się wyczytaną mozolnie prostą bajeczką o żółwiu i zającu, podczas gdy silny umysł męża z rozkoszą zagłębia się w genialne fikcje Goethego lub Mickiewicza.

Kiedy tak dziecię i dorosły człowiek, prostaczek i wykształcony, Arab na spieklej pustyni i Europejczyk w wytwornym salonie, obejść się nie mogą bez bajki, musi ona należeć do istotnych potrzeb człowieka. Wszak i w przyrodzie rzeczywistość odbija się w zwierciadle wód, lub w cudownych powietrznych mirażach; sen nie tylko człowiekowi, ale i zwierzęciu przedstawia mniej lub więcej jaskrawe mamidła. Nie będziemy tu badać z kąd pochodzi ten ogólny pociąg do marzeń, lecz raczej uczynimy mu zadosyć. W nadziei że znajdzie kółko słuchaczy-czytelników, pójdę torem tyłu wielkich i małych bajarzy—i opowiem bajkę.

Powiodę was po zamkach zaczarowanych, — po ludzkich sercach. Tam kurhany wspomnień, wulkan pragnień i tęcze nadziei; tam duchy pokutują i ciągle w nowych występują postaciach. Walka wre nieustanna; namiętność, dziś pokonana, jutro odradza się hydrą stugłową; cnota zabita zmartwychwstaje marą. Obok fanfary tryumfu, słychać jęk boleści, obok szalonego śmiechu, syczy się cicho ła pałaca. Jak na scenie teatru, wciąż pojawiają się larwy przeróżne: zerwij im maskę, a obaczysz że to tylko miłość własna.

Powiodę was po kółkach domowych, a każde z nich ma swoje dramata i komedye, przeszłość i przyszłość, swoje formy rządu i finanse (niestety! po większej części zupełnie rozstrojone), swoją dyplomacją, stosunki zagraniczne i wewnętrzne spory.

Rzucmy okiem w jedno maleńkie kółko domowe, okiem bezstronnem, tak jakby naturalista przez mikroskop patrzył w komórkę jakiej tkanki. Drobnuchna to rzecz, ale z takich komórek składają się olbrzymie organizmy, od ustroju takich komórek zależy charakter i byt całej rośliny lub zwierzęcia. A jak owa tkań roślinna dość jednostajna na pierwszy rzut oka, tak i tkań społeczna, kółka domowe, mają wspólne podstawy ustroju i sposobu życia: te szczupłe, zaschłe, owe obfite, rozrosłe, ale główne czynniki te same.

Przyjrząwszy się nieco bliżej, ujrzemy dopiero nieskończoną różnorodność w téj jedności. Jak nie znajdziemy na świecie dwóch liści zupełnie jednakowych, tak nie spotkamy dwóch jednakowych postaci, dwóch takich samych głosów, dwóch równych położeń, usposobień lub faktów. Rozwija się nieskończone, bezgraniczne życie; indywidualia zjawiają się i nikną, jak bańki na wodzie. Dokąd wiedzie ten ocean zjawisk?..... Nie wiemy.

I.

Śnieżysta marcową zawierucha zagnała mieszkańców Warszawy do domów. Na ulicach rzadko gdzie przemknął się przechodzień, migający jak cień przy zamglonym blasku latarni. Wieczór dopiero zapadł, ale niepogoda pozaludniała kółka domowe; mało kogo brakło w domu o téj porze.

W jednej z wąskich a długich kamienic przy ulicy Piwnej, na trzecim piętrze w ubogiej izbie, siedziała rodzina, złożona z matki, dwóch córek i dwunastoletniego chłopczyka. Lokal tworzyły dwa pokoje, albo raczej pokój i komórka za przepierzeniem. Pierwszy, pokój właściwy, do którego prowadziły drzwi z ciemniejszej i wschodów, był to długi prostokąt, w którego krótszych ścianach mieściły się z jednej strony drzwi, z drugiej dwa okna wychodzące na ulicę. Komórka obok miała też samą długość, ale była węższą o połowę, o jednym tylko oknie. Obie izby były ponure, dość zimne, brudne, o ile to dało się dostrzedz przy świetle cienkiej łojowej świeczki. Ściany, od kilkunastu lat może niepomalowane, pokryte kurzem, który już wpił się w farbę i ton jej nadał; podłoga, w skutek zbyt rzadkiego szorowania, nabrała także niewymytego już pokostu brudu; powietrze było zatęchłe i wilgotne, zwyczajna atmosfera Starego miasta, raj stonogów, pajaków i tym podobnych stworzeń Bożych. Kilka doniczek na oknach z suchotniczkiej konstytucji kwiatkami, na ścianie kilka obrazów świętych, niepozornych i poprzecieryanych, i dwa portrety olejne, także nieco nadwężzone, reprezentowały estetyczne dążności mieszkańców tego smutnego schronienia. Szafka z książkami świadczyła o upodobaniach naukowych; resztę mebli stanowiły proste szafy, kufarki, kilka stołków i stolików i innych sprzętów gospodarskich, które w większych lokalach umieszczają się w kredensie lub kuchni.

Na wygniecionej kanapie, przy okrągłym stoliku, z którego częste szorowanie powycierało już dawno politurę, siedziała staruszka dziwnie szlachetnej i łagodnej twarzy. Starość nie wykrzywiła jej, jak to często bywa; odebrała tylko świeżość i siły. Zbiała włosy okrywał staroświecki czépeczek; z reszty ubioru widać było tylko grubą wełnianą chustkę, którą się dla ciepła starannie owinęła. W rękę trzymała napoczętą półczochę; ale więcej niż robotą, zajęta była żywą rozmową z córkami.

Starsza z dwóch panienek, zajętych szyciem bielizny, mogła mieć około 20 lat. Piękne jej, regularne rysy twarzy zdołał tenże sam wyraz słodczy co matki; ale czoło było wypukłe i dumne, w składzie ust, w kształtnym, okrągłym podbródku widać było energią, a czarne oczy rozumnie patrzyły. Dziwnym kontrastem blask tych oczu podnosiły bujne, złociste włosy i delikatna cera twarzy.

Obok téj, mimowolnie imponującej, w pełni rozwoju dziewczicy, którą nazwiemy Ewą, siedziała jej młodszą, czternastoletnią dopiero lat mającą siostrzyczka, Jadwinia, na przekór siostrze obdarzona ciemnymi włosami i modrém okiem. Kontury ostre, niewypelnione, spojrzenie dziecięce, zadumane lub figlarne, wyraźnie oznaczały epokę podlotka. Wszystkie ubrane były w grubą żalobę.

Miecio, dwunastoletni chłopczyk, siedzący po drugiej stronie matki, żwawe, przyjemne dziecię, pilnie pracował nad rozłożonemi przed nim kajetami i książkami.

— Bo pójdę jutro jeszcze sama, rzekła matka; rozmówię się z tym Szczyptyckim, przedstawię mu całą sprawę, najsluszniejszą w świecie. Nie może być żebyśmy z niczym wyjść mieli.

— Moja mamo, odpowiedziała Ewa, powie to samo, co już mnie powiedział tyle razy, to samo co powiedział mamie zaraz po nowym roku, gdyśmy tu przyjechały, co powiedzieli i inni, choć nie zaraz, że kosztu procesu więcej wyniosą, niż te kilka tysięcy, którebyśmy kiedyś dostać mogli, że kiedy my na ten procesłożyć nie możemy, to on swoim kosztem nie podejmuje się sprawy prowadzić. A tymczasem nam to już wszystko jedno, bo nie idzie o to co kiedyś dostaćby można, ale o jutro.

— Cóż my zrobimy? jęknęła boleśnie staruszka.

— Nasze dochody w żaden sposób nie wystarczają nawet na to liche życie, jakie prowadzimy, rzekła Ewa, smutnie opuszczając głowę.

— A ty, biedna Ewuniu, jeszcze sobie odbierasz zdrowie temi lekcyami. Wczorajszej nocy tak kasłałaś.

— Eh, to nic, to przejdzie. Gdyby choć trochę lepiej płacono za lekcy, toby było pół biedy; ale zawsze przy końcu miesiąca znajdzie się ten lub ów w niemożności wypłaty. Siedem godzin dziennie nie tak wielka praca, ale chodzenie z jednego końca miasta na drugi zajmuje mi drugie tyle blisko.

— Ogromnie się męczysz, moje dziecko; zniszczysz zdrowie.

— Tak mi się już przykrzyło upominanie się co miesiąc o zaległą należność, że od pierwszego zamyślam porzucić dwie lekcy, a nowych jakoś nie mam nadziei dostać.

— I jabyś przecie mogła lekcy dawać, gdyby się trafiło, rzekła Jadwinia, nie podnosząc głowy od roboty.

— Tak, dobrze grasz na fortepianie i czysto mówisz po francuzku; ale któż cię przyjmie za nauczycielkę, tak młodą?

— Szyciem też tyle zarabiam co nic, odpowiedziała Jadwinia. Do magazynu nie pójdę, a do domu roboty mi nie przyniosą.

Nastąpiła chwila milczenia. Odpowiedzi na pytanie: co robić? niełatwo było wynaléć.

Pogięty samowar zasyczał głośnie u piecyka. Jadwinia wstała, poczynić przygotowania do skromnego wieczornego posiłku.

— Trzeba się śpieszyć, rzekła; gotów znowu nas zejść nasz sąsiad z góry i będzie wstyd, że mamy tylko chleb suchy do herbaty.

— Zdaje mi się, że zbyt często się pojawia, rzekła Ewa.

— Nieznośnik ten! Kochana Ewuniu, albo mu raz daj wyraźną odprawę, albo wyjdź już za niego. Będziesz panią majstrową, a my przestaniemy się kłopotać. Z czasem i ja znajdę konkurenta w jego czeladniku, a Miecio będzie u niego w terminie, i.... *tout le monde sera satisfait.*

Jak widziemy z tego wysokoku Jadwini, młodość niełatwo się poddaje smutkowi; świeży umysł, zgięty chwilowo pod ciężarem położenia, prędko się prostuje.

— A wiesz, Jadwiniu, rzekła poważniejsza Ewa, że to zacny człowiek, przy całym swoim nieokrzesaniu.

— Pfe, jak możesz mieć taki zły gust! Rzeczywiście, gdyby nie twoje pobażanie, dawnoby już zaprzestał uszczęśliwiać nas swojemi wizytami, rzekła Jadwinia, skrzywiwszy noskiem. To nawet niedobrze z twojej strony.

Na ten ostatni argument Ewa zamysliła się nieco.

Rodzina Strzemskich, do której wprowadziliśmy czytelnika, należała do zubożałej szlachty. Pół roku zaledwie upłynęło od śmierci pana Strzemskiego i zarazem od opuszczenia rodzinnej wioski. Stary bojował do ostatka z rozmaitemi spadającymi nań po kolei przygodami; jednym długim zapychał drugi, rachował na lepsze czasy, układał się jak mógł z wierzycielami, aż uwikłany w nierozzerwane nici długów, znękany nieurodzajem, pomorkiem i różne-

mi, jakby spikniętymi na niego kłeskami, na kilka tygodni przed niechybnym wywłaszczeniem, zakończył żywot pełen boleści, dręczony myślą, że żonę i dzieci pozostawia bez żadnego środka utrzymania na świecie, a nawet bez przyjaciół.

Tak, bez przyjaciół, gdyż mimo że Strzemski był najzaciewniejszym człowiekiem na świecie, nie zjednał sobie sąsiadów w ciągu dwudziestoletniego gospodarowania. Gruntownie ukształcony, ale trochę niepraktyczny, marzyciel, filozof, nie nadął się do żadnej koteryi w okolicy. Bogaci panowie i półpanki nie lubili go za to, że będąc drobnym szlachcicem, zachowywał względem nich zupełną niepodległość w zdaniach i obyczaju, jako wynik konieczny przeważnej inteligencji i samodzielnego charakteru; równi mu majątkiem, lub ubożsi, za usiłowania reformy ich miłych nawyków, napędzanie od kieliszka i kart do książki; wszyscy w ogóle za zły przykład dany okolicy wprowadzeniem innowacji, bałamucciem robotnika, podwyższeniem ceny pracy i t. p. A że, jak powiedzieliśmy, Strzemski był niepraktyczny i reformy jego uczciwie pomyślane, obracały mu się na wyraźną szkodę, tém łatwiej stał się przedmiotem krytyki, a nawet niechęci. W naturalnym następstwie takiego stosunku sąsiedzkiego i gospodarskiego, pan Strzemski stał się odludkiem, przegorzkłym mizantropem. Zagniewany na ludzi, zniechęcony, szlachetny ten umysł stęrał się w nieumiejętnej walce o reformę obyczajów, o idee, wniosłe ale trudne do wykonania, nareszcie o własną egzystencję. Grzęznął coraz mocniej w kłopoty majątkowe, czerpał Strzemski siłę moralną w miłości tylko żony i córki, a w pracy książkowej jedyne znajdował orzeźwienie.

Mylił się jednak Strzemski, sądząc na łożu śmierci że pozostawia żonę i dzieci bez żadnych zasobów. Zostawił im dwa skarby, które nietylko że prawdziwą wartość życiu nadają, ale częstokroć pewniej niż kapitały prowadzą do pomyślności, mianowicie siłę charakteru i wykształcenie. Wprawdzie tylko Ewa, najstarsza córka, ukończyła całkowicie edukację; dwoje młodszych dzieci miało tylko podstawy do dalszego rozwinięcia; ale i to bardzo wiele znaczy.

Ewa, obok kobiecej łagodności i miękkości uczucia, posiadała hart duszy, niełatwo do znalezienia nawet w mężczyźnie. Po ojcu odziedziczyła wysokie do nauk zdolności, ale przyglądając się jego ciągłym a bolesnym zapasom z rzeczywistości życia wymaganiami, w końcu pomagając mu nieco, nabrała owych podstaw praktycznych, tak potrzebnych do życia z pożytkiem dla świata i dla siebie. Przerazona podwójnym gromem, jaki spadł na rodzinę: stratą ukochanego ojca i zupełną majątkową ruiną, zdołała wkrótce otrząsnąć się z osłupiałej boleści, szukając środków ratunku. Przewyciężywszy lekliwość dziewczęcą, zastąpiła natychmiast rozsądną, lecz zbyt powolną, łagodną i słabowitą matkę i podjęła się wstępnego trudu traktowania z prawnikami, urzędnikami administracyjnymi i licznymi wierzycielami. Starła się skrzętnie pozbiierać choć szczątki rozbitego okrętu. Pedantyczni prawnicy, zimni biuraliści, zakamieniali lichwiarze podziwiali jej energię, przenikliwość i zdrowy sąd o rzeczach zaledwie poznanych. Wszystko to oczywiście nie uratowało majątku, oddawna już tylko z tytułu należącego do Strzemskich, nie pozostało jednak bez korzyści. Kilka tysięcy złotych, jakie osierocona rodzina wywiozła, przenosząc się do Warszawy, były owocem owej prawniczej działalności Ewuni, deszczulką na której przybito do nowego, nieznanego brzegu.

Pozostał jeszcze proces, o którym właśnie toczyła się mowa przy roztrząsaniu budżetu domowego: chodziło o kilka tysięcy, wydartych im wprawdzie przy zachowaniu wszelkich form prawnych, ale z wyraźną złą wiarą, przez pewnego lichwiarza, który umiał korzystać z trudnego położenia i nieobrotności nieboszczyka Strzemskiego. W Warszawie ostatecznie miała rozstrzygnąć się ta sprawa.

Kobiety, choćby najbystrzejszym obdarzone umysłem i najbardziej wykształcone, rzadko kiedy mają zdolność rozróżniania słuszności od prawa; syntetyczny ich umysł, w ogóle wstępnym jest wszelkiej analizie, chwytają za rezultaty, za całość harmonijną; nie godzi się więc z dysharmonią, jaka się czasem między temi dwoma pojęciami wydarza.

Powiedzieliśmy już, że lichwiarz miał wszelkie formy prawne po swojej stronie, zatem wszelkie szanse wygrania procesu; ale pani Strzemska i Ewunia, oburzone złą wiarą i niemoralnością czynu, nie widziały trudności prawnych.

Z początku gorąco rzecz biorąc, prawie pewne były wygranej i parte niedostatkiem w jaki popadły, a nawet uczuciem pobożnej czci dla nieboszczyka, chciały wydobyć z rąk lichwiarza grosz siérocy i całe swoje starania ku temu obróciły. Zaczęły się znowu konferencje panny Ewy z prawnikami; szczupły fundusik topniał na stemple, wpisy i honoraria, drogie życie w Warszawie także go uszczuplało, tém bardziej że kobiety przybyły ze wsi, nie mogły z początku nawyknąć do ścisłych rubryk warszawskiego gospodarstwa.

Wkrótce z przerażeniem dostrzegły przepaść pod swoimi nogami: pieniądze wychodziły ostatki, a do wygrania procesu lub ukończenia go w jakikolwiek sposób jeszcze było daleko. Adwokaci, niepodnieceni nakładami, zaczęli coraz widoczniej wykazywać niemożność zmuszenia przeciwnika do zwrotu spornej sumy; Ewunia też, ochłonawszy z pierwszego zapału, spostrzegła swoje złudzenie, spostrzegła że zamiast marnować czas i resztki pieniędzy, należało raczej coby prędzej myśleć o zabezpieczeniu dalszego bytu.

Niełatwo to znaleźć sobie utrzymanie w Warszawie, nawet osobie wielostronnie ukształconej, a jeżeli kobieta jest w tej ciężkiej potrzebie, to trudność oczywiście daleko jeszcze większa. Prawda, że kobieta mniejszym dochodem obejść się potrafi; ale jeżeli ją los zrobi opiekunką rodziny, to i ta korzyść upada.

Nad rodzajem zarobku nie potrzebowała Ewa długo głowy sobie łamać; miała do wyboru jedynie pracę igłą, lub dawanie lekcji. Pierwsze z tych zajęć daje dochód tylko przy włożeniu jakiegoś kapitału i otwarciu zakładu na własną rękę; a że pieniędzy już nie było, wypadło więc wyzyskiwać jedynie kapitał naukowy. Muzyka i francuzczyzna okazały się najpokupniejsze, a w obu tych przedmiotach Ewa posiadała znaczną biegłość.

Nie będziemy tu opisywać wszystkich zachodów i trudności, jakie napotykała biedna dziewczyna w uzyskaniu lichych trzech czy czterech lekczyjek; dość że w końcu kilku protektorów, których potrafiła sobie zyskać robiąc starania o proces, i kilku dawniejszych znajomych, wystarczyło jej o lekcje. Dochód to jednak był mały, niepewny, utrzymujący w ciągłych dziennych kłopotach i niepewności jutra.

Nowe położenie wyradza nowe stosunki i znajomości. Równość majątku lub stanowiska społecznego bardziej ludzi jednoczy, niż podobieństwo charakteru, opinii, uczuć, lub ukształcenia. Bogacz posiadający wyższe ukształcenie, łatwiej się zbliży z bogaczem-ignorantem, niż z ubogim, choć pełnym inteligencji człowiekiem; ubogi prostaczek nie lęka się potęgi umysłowej równego mu biedaka, najczęściej nawet jej nie widzi. Ogół sędzi z rezultatów; twardy to sąd i poziomy, ale bezpieczny.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

O PODANIACH I KLECHDACH LUDU Z OKOLIC WARSZAWY.

Przez Mściława Kamińskiego.

(Dalszy ciąg.)

Wędrowny jakiś diabeł, nie mając nic lepszego do roboty, postanowił wyrządzić psotę chłopu, którego napotkał w polu za pługiem. Gdy przemysła coby mu zrobić, spostrzegła leżącą w krzakach torbeczkę, z czarnym jak święta ziemia chlebem. Pochwycił chleb i uciec, było dziełem jednej chwili. Ale chleb ten był jedynym pokarmem biednego kmiecia, któremu o przednówku wszelkich środków do życia zabrakło. Szatan, pozbawiając chłopca tego kęsa, narażał go na śmierć głodową. Zbrodni takiej nawet i piekło potakiwać nie chciało. Z wyroku Lucypera

swawolny czart został skazany na rok bezpłatnej służby u tegoż samego kmiecia.

A zaprawdę, trudno znaleźć lepszego jak szatan parobka. Jada mało, robi wiele, a więcej jeszcze kradnie dla swego gospodarza. Złodziejstwa te tak są kolosalne, tak cudowne, że nawet poszkodowani nie mają chęci czy odwagi chrzcić ich mianem zwykłej kradzieży. Gospodarz np., otrzymawszy od dziedzica pozwolenie wyrąbania tylu drzew, ile się na wóz zmieści, wysłał do lasu swego parobka-diabła. Ale ten, pomimo przedstawień gospodarza, poszedł nietylko bez wozu i konia, ale nawet bez siekiery. Wrócił w kilka godzin potem, ciągnąc za sobą niby olbrzymią górę, w której zdumiony gospodarz kilkaset pni drzewa rozpoznał. Błogosławił go kmiołek, zżymał się dziedzic, ale pomimo to dał się sprytnemu diabłu dwa jeszcze razy w pole wyprowadzić. Gdy bowiem pozwolił kmieciowi nabrać tyle siana, ile człowiek naraz unieść zdoła, przemysłny parobek, przyszedłszy do miejsca gdzie stało pięć stogów, z jednego zrobił przewiasło, którem pozostałe cztery zagarnął, zarzucił na plecy i odniósł do domu, w oczach osłupiałego dziedzica.

Niemniej dowcipnie postąpił sobie i z ziemniakami, których dziedzic pozwolił mu nabrać jeden wór. Wór wprawdzie był jeden, ale z dziesięciu zwykłych worów użyty.

W końcu jednak służby diabeł pokazał, jak to mówią, rogi. Mszcząc się na gospodyni za rozmaite przykrości od niej doznane, gdy mu raz w pole jeść przyniosła, przywiązał ją do hołobli za nogi i całe pole nią zabronował. W taki to sposób zapłacił sobie diabeł za całoroczną gorliwą służbę. (*)

Zdarza się jednak, że diabeł sam dobrowolnie przychodzi do gospodarza i oświadcza się z chęcią wstąpienia do służby. Czy pod tym płaszczykiem dobroci i usłużności kryją się jakie szatańskie plany, nie wiemy; to tylko pewna, że kto miał takiego parobka lub czeladnika, niezgorzej na tym padole płaczu wychodził. Nie mówiąc już o rozmaitych usługach, diabeł uczył go czasem tak np. pięknego kunsztu, jak sztuka odmładzania ludzi, która że większą korzyść praktykantom przynosiła, niż wszystkie synekury razem wzięte, o tém, zdaje mi się, nie potrzeba nadmieniać. Ponieważ klechda o odmładzaniu przypomina niektóre szczegóły podań o Twardowskim, przytaczamy ją przeto w streszczeniu.

Do pewnego zubożałego kowala przysłał za czeladnika diabeł. Nazajutrz po swojej instalacji powiesił nadedrzwiemi tablicę z napisem, że w tym domu starzy się odmładzają. Przejeżdżający mimo jakis pan, przeczytał te słowa, i ledwo oczom swoim wierząc, przywołuje mądrego czeladnika i pyta, czyby się podjął żonę jego odmłodzić. „Dlaczegożby nie, odpowiada czeladnik, odmłodzę.“ Ucieszony małżonek powierza swą połowicę szatanowi, a sam odjeżdża do miasta, przyrzekając wstąpić po nią wieczorem. Diabeł posadził ją na węglach, rozdmuchał ogień miechem, pochwyił na kowadło i nuż młotem bić, bić, aż się skry sypią. Następnie tchnął w tę bezkształtną masę żuzli, i przedciana zrobiła się niewiasta. Wstąpił wieczorem ów pan po swoje małżonkę i omal nie oszalał z radości. Przemysłny czeladnik, a raczej przyglądający się temu wszystkiemu z gapowatą miną kowal, dostał za tę sztukę 200 złotych.

Gdy wiele już osób, dzięki cudownej sztuce, odzyskało młodość i nowe życie rozpoczęło, gdy szkatuła kowala coraz się cięższą stawała, diabeł, znużony jednostajnością, pożegnał swego majstra i puścił się w świat. Zaledwie zniknął z oczu kowala, aliści przed kuźnią zatrzymuje się jakiś generał i pyta kowala, czyby się podjął cały pułk żołnierzy odmłodzić. Na twierdzącą pana majstra odpowiedź, oświadczył, że jutro przyprowadzi żołnierzy i odjechał. Nazajutrz w rzeczy samej nadciąga pułk weteranów, a uszczęśliwiony kowal zacięra ręce, obliczając zawczasu ile tysięcy złotych wpłynie mu do kieszeni. Przerachował się jednak biedny ze swemi siłami, bo potrafił wprawdzie potłuc ich i popalić, ale tchnął w nich życia nie umiał. Słu-

(*) W szacownym dziele pana Kolberga, Lud (serya III str. 182) znajdujemy odmianę tej klechdy p. t. O chłopie robotniku. Koniec tylko obu tych powiastek zupełnie jest inny.

sznie rozgniewany generał, wydaje rozkaz pozostałym przy życiu żołnierzom, by niefortunnego kowala powiesili. Gdy w domu powstał straszny płacz i lament, gdy już stryżek zarzucono na szyję winowajcy, zjawia się diabeł, któremu żal się zrobiło głupiego kowala. „Za co go wieszacie?” zapytał ludzi zajętych wykonaniem wyroku. A gdy mu rzecz całą opowiedziano, rzekł: „Ej, tylko tyle biedy! Poczekajcie, ja obejrzę tę robotę, a jakoś to będzie.” Ma się rozumieć, że wnet wszystko inną postać przybrało, a uwolniony kowal nie miał już ochoty zajmować się rzemiosłem, w którym terminu nie odbywał.

Niezawsze jednak napotykają się tak litościwi i zręczni diabli. Niekiedy chciwość na dusze tak dalece ich zaślepia, że się dadzą wyprowadzić w pole pierwszej lepszej dziewczynie. Prawda, że orężem tej ostatniej jest w takich razach niewinność i siroć, a oręż ten, zwłaszcza w baśniach, posiada moc nadprzyrodzoną. O sierocie jednak, jako o klechdowej postaci, pomówimy niżej; tu skończymy za jednym zamachem wizerunek diabła, jak go lud tutejszy pojmuje.

Rzecz dziwna, w żadnej z klechd któreśmy słyszeli w okolicach Warszawy, nie jest podany rysopis czarta. W jednej tylko widzimy go w postaci koguta, ale to nie diabeł jeszcze, lecz rodzaj ducha żywiołowego, coś nakształt Ariela Szekspiroskiego, lub francuzkiego *gobelina*. W innej klechdzie jest on, jakieś powidzieli, utożsamiony z wierzba-rokiciną. W ogóle lud tutejszy niejasne ma o jego postaci wyobrażenie. Lepiej już nieco maluje jego charakter, skłonności i figle. Jakże wielka przestrzeń oddziela czarta ludowego, od szatana jakim go pojął Milton, jak go świat średniowieczny wyobrażał! To nie potężny książę ciemności, co niebu samemu urąga, ale chytry, podstępny, mały nawet w swój złości kuglarz, który nie już potędze krzyża, ale nawet chłopskiemu rozumowi rady dać nie umie. Czart ludowy ma wszystkie nawet skłonności ludzkie, i w tym chyba tylko jest podobny do upadłych aniołów Bajrona, że również jak oni kocha się w ziemskich córach, a nawet rad je za dozgonne towarzyski życia bierze.

Piekło również blademi barwy jest odmalowane. Różni się ono zupełnie od Tartaru starożytnych, otchłani biblijnej i piekła Dantejskiego. Jest to wielkie, ciemne podziemie, w którym niebrak ani gór, ani drzew, ani pałaców. Rzadko kiedy usłyszymy w nich jęk potępieńca, a o zgrzytaniu zębów i okropnych męczarniach i mowy nawet być nie może. Cała rzecz, że trudno dostać się człowiekowi żywemu do piekieł, a dostawszy się nawet, trudno w tej podziemnej pustyni orientować się. Niezbędnymi talizmanami dla pragnących odbyć tę podróż, są buty samoskoki, czapka niewidka i pierścień przewodnik. Pierwsze i druga pozwalają podróż tę bezpiecznie odbywać, pierścień zaś wskazuje dokąd udać się należy.

Drugą postacią klechd jest *czarownica*. I tu także wielką znajdujemy różnicę pomiędzy czarownicą wieków przeszłych i klechdową. Ta ostatnia bowiem pod tym tylko względem podobna jest do pierwszej, że zawiera pakt z diabłem, że duszę swą mu zaprzeda, że się Boga i świętych wyrzeka. Zresztą istota to sobie raczej, niż ludziom szkodząca. Oplywa w dostatki, lecz ubogą jest w duchu. Nawet zepsucie nie kazi ostatecznie jej duszy; w głębi tych ruin ohydnych, tkwi isierka miłości Boga i bliźniego. Nędza popycha ją w objęcia grzechu, wspomnienie błogiej, niewinnej przeszłości na dobrą drogę naprowadza. Szatan ją zwycięża, lecz nie ujarzma.

Oto treść jednej z takich klechd o czarownicy: „Były dwie siostry rodzone, ale niejednakowo uposażone. Starsza miała dwie tylko krowy, lecz mleka w bród; młodsza pięć, ale mleka tak mało, że i dzieci nawet własnych nie miała czém karmić. Przyczyna takiej różnicy bardzo prosta: oto młodsza była uczciwą i bogobojną, a starszą znano w całej wsi jako czarownicę. Po długiej wewnętrznej walce

młodsza siostra udała się do starszej, prosząc by i ją z czartem zaznajomiła. W ciemną noc poszły obie w pole, kędy rosła wierzba-rokicina, zwaną przez skrótce rokitą. Tu czarownica, przybrawszy minę uroczyście, zapytuje truchlejącej ze strachu siostry, czy przyrzeka do kościoła nie chodzić, pacierzy nie mówić, imienia Pańskiego nie wzywać? — „Przyrzekam!” odparła nieszczęśliwa. Wówczas czarownica, zwracając się ku wierzbie, zawołała:

„Rokita, Rokita, Rokita!
Przyszła do ciebie kobieta,
Oddaje duszę i ciało,
Bo się jej mleka zachciało.”

Pakt został zawarty. Mleka wprawdzie nietylko że przybyło, ale więcej go nawet krowy dawały, aniżeli wszystkie znajdujące się w domu naczynia pomieścić mogły; cóż jednak z tego, kiedy spokój sumienia nazawsze odbiegł nieszczęśliwą kobietę. Raz, wiedzioną nieprzewyciężoną tęsknotą za tym co nazawsze utraciła, udała się skrycie do domu Bózego. Wszystko wydało się jej tu jakby za mgłą, i księża, i lud, i ołtarze. Chciała się modlić, ale ze skalanych jej ust nie wyszła modlitwa, skażony umysł nie zdołał się wzbąć do nieba. Wróciła do domu, z mocnym postanowieniem zerwania z szatanem. Starsza siostra, widząc że wszelkie jej namowy i przedstawienia żadnego skutku nie odnoszą, kazała nawróconej wziąć tyle doniczek mleka, ile krów miała, i udały się obie ku temu samemu krzakowi wierzby. Tu starsza wypowiedziała następne zaklęcie.

„Rokita, Rokita, Rokita!
Przyszła do ciebie kobieta,
Odebrać duszę i ciało,
Bo jej się mleka odechciało.”

Wtém zaszumiało, zahuczało i coś jeło wylęwać z doniczek mleko.

„Uciekaj, zawołała czarownica do siostry, bo jeżeli nie wpadniesz do domu zanim ostatnią donicę wyleje, głowę ci urwie.” I kto wie czyby zdołała biedna uniknąć pogoni, gdyby pianie koguta nie wstrzymało szatana, który już, już doganiał swą ofiarę. Mleko znowu wprawdzie znikło, a z nim i dobrobyt, ale wrócił natomiast spokój sumienia.

Piękna ta klechda nie potrzebuje, jak sądzimy, żadnych komentarzy. Moralność odnosi w niej zupełne zwycięstwo nad grzechem, cnota z ciężkiej próby, z chwilowego upadku, jeszcze czystsza i piękniejsza wychodzi.

*Baba-jędz*a częściej jeszcze niż czarownica występuje w klechdach ludowych. Pod żadnym jednak względem nie należy jej brać za jedno z czarownicą. Ta ostatnia jest właściwie obcym wtrętem, przyszła do nas z Zachodu i zaaklimatyzowała się tak dobrze, że ani poznać jej pochodzenia. *Baba-jędz*a przeciwnie jest zabytkiem słowiańskiej mitologii, a więc tworem zupełnie narodowej fantazyi. Zresztą i pod względem natury swojej wielce się różni od czarownicy. Czarownica, to kobieta diabłu duszą i ciałem oddana; *Baba-jędz*a, to złośliwe bóstwo, niezmiernie pochodzenia, mające moc nadludzką i szatańską nienawiść ku rodzajowi ludzkiemu. Czarownica mieszka w tej samej wsi co inni ludzie, też same co oni ma potrzeby i namiętności, tak samo jak oni żyje i umiera. *Baba-jędz*a, jeżeli nie mieszka w domku na kurzych nogach, to przebywa w pałacu na szklanej górze; życie jej jest tajemnicze, postać mglista, jedyną namiętnością złość. *Baba-jędz*a, na Rusi zwana *Babą-jahą*, ma moc szatana, ale jak ten, daje się oszukać, czasem udobruchać, a niekiedy zabić. W pałacu swoim trzyma ona na uwięzi precudnej piękności dziewczę, które lud zowie jej córkami, pomimo tego że nie z nią wspólnego nie mają, wyjąwszy chyba mocy przemieniania ludzi w co zechcą. Władzy tej wszakże nie używają na złe, owszem posługują się nią tylko w ostateczności, i to w celach najlepszych. Jedna

naprzykład z takich dziewczę, chcąc ochronić swą siostrę przed *Babą-jędz*ą, przemienia ją kolejno to w igłę, to w szpilkę, to w węgiel. Gdy wreszcie niepodobna było dłużej wytrwać pod okrutnym uciśkiem *jędzy*, wszystkie trzy siostry uciekają. Ale *jędza* tuż, tuż pędzi za niemi. Wówczas jedna z sióstr upuszcza na ziemię grabie, z których niebotyczne góry powstają. Zatrzymana na chwilę *jędza* znowu pędzi, ale upuszczona przez siostry szczotka, przemienia się w pole cierniem pokryte. Rozgniewana *Baba-jędz*a, każe stolarzowi zrobić drewnianą siekiere, a gdy się łamie, szklaną, wreszcie po zбициu tej ostatniej, żelazną, którą wycina ciernie i znowu puszcza się w pogoń. Siostry wtenczas rzuciły kłębek, który w olbrzymi łód się zamienił. Gdy i tę trudność pokonała, rzuciły jajko, z którego wielka woda powstała. *Jędza*, chcąc ją wypić, wydeła się i pękła.

Lecz oto inna bajka, która lepiej jeszcze da nam poznać *Babę-jędz*ę i jej cudne córki. Przytaczamy ją tem chętniej, że jest to, zdaniem naszym, najpiękniejsza klechda z całego zbioru naszego.

„Pewien strzelec zoczył na stawie dziką kaczkę, a gdy nie mógł jej zabić, złapał w sidła i odniósł do domu. Nie była to jednak zwykła kaczka, ale cudna dziewczica, w kaczkę zaklęta. To też skoro tylko nazajutrz rano strzelec wyszedł na łowy, dziewczica zrzuciła z siebie kaczkę powłokę, i zaleciwszy milczenie stariej matce strzelca, uprzątnęła cały dom, zgotowała obiad, wyszorowała statki, stoły, że strzelec, wróciwszy, oczom swym wierzyć nie chciał. Po kilku dniach tajemnica się wykryła: strzelec ujrzał cudną dziewczę, podpatrzył gdzie skórę kaczką złożyła i, zabrawszy, zamknął ją w swoim kuferku. Łzy, prośby i jęki pięknej dziewczicy nie pomogły; strzelec, w którego sercu gwałtowna zrodziła się miłość, był raczej gotów życie swe poświęcić, aniżeli stracić tę, którą tak ukochał. Ale dziewczica, której godzina wyzwolenia jeszcze nie wybiła, wykradła z kuferka fatalną skórę i znikła, pozostawiając przypiętą u okna kartkę, której treść w tych słowach da się wyrazić: „Uciekam, bo muszę. Znajdziesz mię na szklanej górze, w pałacu *Baby-jędzy*.” Jakkolwiek niewiele się z tych słów dowiedział biedny strzelec, postanowił jej jednak szukać, choćby na koniec świata iść przyszło. Nie będziemy tu opisywać szczegółowo wszystkich przygód podróży, więc jego spotkania z królem żmij, a następnie z królem ptaków, który wreszcie każe gryfowi przenieść naszego bohatera na szklaną górę. Gdy przybył na tę ostatnią, spostrzega wysoką, szkaradną staruchę, w której poznał odrazu *Babę-jędz*ę. „Pocoś tu przybył?” zapytała go z gniewem; a gdy się szczerze przed nią wypowiedział, rzekła ze złośliwym uśmiechem: „Dostaniesz, jeżeli poznasz, ale w przeciwnym razie zjem cię na śniadanie.” Strzelcowi zdawało się, że to rzecz bardzo łatwa, bo któżby nie poznał swój lubię? Ale chytra *baba* inaczej myślała. Po chwili oczekiwania, wprowadziła go do obszernej sali, w której stały trzy łóżka, a na każdym z nich leżała jedna z jej córek, prześcięradłem od nóg do głowy okryta. Wszystkie pod tym okryciem były tak podobne do siebie, jak dwie krople wody. „Odgaduj!” rzekła stara. Wówczas dopiero zrozumiał strzelec całą trudność swego zadania, ale cofnąć się było niepodobniestwem, a zresztą mógłże żyć bez niej? Gdy patrzył, patrzył, a nie mógł dostrzedz najmniejszego rysu któryby ukochaną jego zdradził, nagle zauważył jakieś niedostrzeżone podnoszenie się prześcięradła na jednej z dziewczę, w okolicy lewego boku, więc tam gdzie serce się znajduje. Gdy się przeniósł cały w zmysł wzroku i słuchu, usłyszał wyraźnie jakby ruch sprężyny zegarka: „Tik tak, tik tak.” Pierzchnął wszelkie wątpliwości w umyśle kochanka... bo i mogło być inaczej? Miłość doń przemówiła nie przez słowa, nie przez dźwięki nawet, ale sobie tylko właściwym wyrazem. Nie było się co wahać: rozpromieniony radością, odwrócił się ku *jędzy* i wskazując dziewczę, rzekł: „Oto ona!” „No, masz szczęście, rzekła *jędza*, bierz ją sobie i wynoś się, póki w do-brym jestem humorze.”

(Dokończenie nastąpi.)